

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07.

Marian Łohutko

Pętla bieszczadzka

... Ewa wzywa 07...



Marian Łohutko
PĘTLA BIESZCZADZKA



— Na pogodę nie ma rady — powiedział prezes, a wszyscy obecni skinęli głowami. — Nic tu nie zawiñem ani ja. ani też instancja związkowa. Wycieczkę zaplanowaliśmy wcześniej, przedtem specjalnie ustaliliśmy, że w tym okresie jest w Bieszczadach najczęściej ładna pogoda, a tłok się jeszcze nic zaczął. I tu, prawda, widzicie, jaka sytuacja.

— Nic to. prezecie — wykrzyknął główny księgowy Okoński. — Podawali przez radio, że ten deszcz to zbawienie dla jarych zbóż. Nie mówiąc już o okopowych!

Wycieczkowiczów rozlokowano w tak zwanej kwaterze prywatnej. W dwóch pokojach na piętrze zamieszkały kobiety, w trzech na parterze — mężczyźni. Sugestie na temat stworzenia pokoi koedukacyjnych zdecydowanie odrzucili zarówno prezes, jak i przewodnicząca rady zakładowej. W sumie w pięciu izbach zmieściła się cała dwudziesto sześcioosobowa grupa.

Wszędzie było ciasno, całą prawie powierzchnię zajmowały łóżka. Wszyscy zebrali się w największym, dziewięcioosobowym pokoju na parterze. Z teczek i walizek wypłynęły na wierzch butelki, szklaneczki, podróżne blaszane kieliszki. Kilka kobiet przygotowywało kanapki.

— Więc plan jest taki — mówił dalej prezes. — Dziś wieczorek zapozna w czy, bo musimy się. prawda, zapoznać.

Rozległy się śmiechy, prezes chrząknął z zadowoleniem. Dowcip się udał; poznać się miały osoby, które znały się jak przysłowiowe łyse konie, zajmując od szeregu lat kierownicze stanowiska w spółdzielni. Szeregowych pracowników było zaledwie kilku i to zabranych na wycieczkę dla przyzwoitości.

— Bardzo mi się podoba propozycja prezesa — powiedział z kąta inżynier Kubiak. — Ale pozwolę sobie nieco ją rozwinąć. Jeżeli chodzi o personalia, to zdaje się, nie czekają nas żadne zaskoczenia. Uważam, że moglibyśmy urządzić sobie pewną grę, która wypełniła już bez reszty wiele wieczorów ludziom na różnych poziomach intelektu i drabiny społecznej. Nazwałbym to wieczorom prawdy.

— Co chcecie przez to powiedzieć, inżynierze? — zapytał prezes. W pokoju rozległy się pomruki niezadowolenia.

— Reguły gry są proste — mówił jednak Kubiak nie zrażony. — Zresztą nie są sztywne, można je zmieniać w zależności od umowy. Jest wariant z fantami na przykład. Ja pana o coś pytam, pan mi mówi nieprawdę...

— Zaraz, ale po czym poznamy, że to nieprawda? — krzyknął księgowy Okoński.

— Może być chociażby tajne głosowanie. I jeżeli wypadnie, że pan powiedział nieprawdę, daje pan fant. Na przykład kapelusz, jeżeli go pan ma akurat na głowie. Albo marynarkę. Albo powiedzmy podkoszulek.

— Ten jak coś wymyśli, to nie wiadomo, czy śmiać się z tego, czy płakać — powiedziała jedna z kobiet szykujących kanapki. Kubiak zignorował ją, więc ciągnęła dalej, ale już głośniej, wyraźnie zwracając się do inżyniera. — Pan tak lekkomyślnie proponuje, a ja już mniej więcej wiem, jak by się to skończyło. To pan dałby najwięcej fantów. A jak wykupić?

— Myli się koleżanka — wreszcie ją zauważył. — Nie dałbym żadnego fantu. Bo niby dlaczego miałbym kłamać? Żyję w sposób wręcz wzorowy. Mam jedną kochankę od kilku lat i pozostaję jej wierny. I żonę mam również jedną, czyli zgodnie z prawem. I obie niewiasty wiedzą dobrze o sobie, czują nawet do siebie coś w rodzaju sympatii. A że sporo piję? Racja, piję. Ale wyłącznie za swoje pieniądze i w alkohol zaopatruję się w lokalach, nad którymi pieczę sprawuje Polski Monopol Spirytusowy. Przynoszę państwu niezły dochód. Natomiast co do pracy, to,...

— To ta gra miałaby obejmować również sprawy służbowe? — wtrącił się prezes.

— A dlaczegoż by nie? — zapytał Kubiak. — Wszak praca stanowi istotną, niezastąpioną część życia każdego człowieka.

— Jeżeli to ma dotyczyć i prany, ja się nie zgadzam — powiedział prezes stanowczo. — To znaczy chciałem się wyrazić, że nie uważam tego pomysłu za najlepszy i głosowałbym przeciw. Przyjechaliśmy tu, żeby, prawda, odpocząć, odprężyć się. Łyknąć świeżego powietrza. Powinniśmy zapomnieć o pracy. Wracajmy więc do programu. Dzisiaj, jak mówiłem, wieczorek za-poznawczy, a od jutra zaczynamy objeżdżać Pętlę Bieszczadzką. Następny nocleg w Ustrzykach Górnych, a w niedzielę wczesnym popołudniem wyruszamy do domu, żeby, prawda, jeszcze dobrze odpocząć przed zadaniami czekającymi nas w poniedziałek. Jest ktoś przeciw? Nie widzę. Ktoś się wstrzymał? Nie widzę. W takim razie porządek dzienny oraz nocny uważam za przyjęty.

Następnie opowiadano tak zwane kawały. Ludzie powoli rozchodzili się do swoich pokoi, rozmawiali w małych grupkach, trochę pili. Niektórzy wybrali się na spacer, ale szybko wrócili, bo ciągle padało. Nieco mniej co prawda, ale jeszcze nie na tyle, żeby móc wyjść na dwór bez parasoli, o których oczywiście nikt nic pomyślał przed wyjazdem.

Po godzinie przybiegł do prezesa Jakubczyk, kierownik zaopatrzenia.

— Panie prezesie, Kubiak pije z obcymi w gospodzie — powiedział zdyszany. — Z wszystkimi się brata, jak to on po wódce.

— No, a co ja, uważacie, mam do tego? Takie rewelacje, że Kubiak pije, zostawcie dla innych. Ja o tym wiem. Co ja mogę? Może wreszcie ktoś zlituje się i da mu trochę po łbie, żeby, prawda, wiedział, że jak już pić, to w odpowiednim towarzystwie.

Rano znów mżyło. Ludzie z trudem odrywali od poduszek ciężkie głowy, ale prezes był nieubłagany. Osobiście wyciągał spod kołder co bardziej opornych, boleśnie nacierał uszy. Jedno z łóżek było nie rozesłane,

— Kto tu miał spać? — zapytał. — Zdaje się, że wszystkie łóżka zajęliśmy.

— Chyba inżynier Kubiak — mruknął ktoś,

— Właśnie, Kubiak. Co z nim? Widział go kto? No, czy widział kto Kubiaka rano? — irytował się prezes. Przez długą chwilę nikt nie odpowiadał. — Więc jest Lak: Kubiak nie wróci! na noc, prawda? Co się mogło siać? Przecież nie śpi nigdzie na deszczu. No. panowie, zadanie bojowe. Kropnąć się we wszystkich kierunkach. Rozejrzeć się, popytać ludzi. Za pół godziny wyjeżdżamy na śniadanie,

Inżyniera jednak nie odnaleziono i nikt nie przyniósł na jego temat żadnych informacji. Po naradzie postanowiono jechać na śniadanie i zostawić Kubiakowi wiadomość. W autobusie nastroje były kiepskie. Ktoś, kto jeszcze do końca nie wytrzeźwiał, zaintonował jakąś piosenkę, ale po chwili umilkł i zawstydzony przeprosił nie wiadomo kogo.

Prezes przesiadł się na wolne miejsce obok Szafrąńskiej, kierowniczkę kadr.

— Głupia sprawa — powiedział patrząc na zamazaną deszczem szybę. — Czułem, że on coś zmaluje. Jak pani myśli — co się stało?

— Chyba poszedł w kurs. jak to ma w zwyczaju. Pewnie gdzieś pije albo odsypia. Może jest kilkadziesiąt kilometrów stąd? Podobno wieczorem pił z szoferami.

— Przecież nie sposób dorosłego człowieka pilnować na każdym kroku — uspokajał siebie prezes. — Co, miałem go związać i nie pozwolić mu iść do tej knajpy?

— A może on gdzieś teraz siedzi i śmieje się z nas, że narobił nam kłopotów? To by było do niego podobne.

Ale sprawa nie dawała spokoju prezesowi, który był zarazem kierownikiem wycieczki. Podczas obiadu telefonował z restauracji, żeby dowiedzieć się o Kubiaka. Inżynier się nie odnalazł, nikt go nie widział. Nastroje stawały się coraz bardziej markotne. W dodatku deszcz ciągle siąpił, niskie chmury szybko przesuwały się nad zalesionymi szczytami. W tej scenerii zaginięcie jednego z uczestników wycieczki zrobiło na pozostałych szczególnie duże wrażenie.

Mimo że po Kubiaku wszystkiego można się było spodziewać, a w szczególności pijackich eskapad, kończących się na przeciwnych krańcach Polski — ludziom wydawało się, że coś się stało. Coś na miarę tej ponurej scenerii. Przy tak niskim ciśnieniu atmosferycznym ciemne kolory przeważają podobno nie tylko w świecie zewnętrznym.

Wiadomo było, że Kubiak pił tego wieczoru. I — jak to w jego zwyczaju — pił dużo. A *ij* są przecież góry, obcy teren. Wystarczy pomylić kierunki, potem pomyśleć, że lepiej byłoby jednak skrócić drogę, zejść z szosy, wpaść w jakiś wykrot albo zwałić się na dół... Wołanie można słyszeć ze stu, dwustu metrów. A jeżeli ktoś nie ma sił głośno krzyczeć albo jest w ogóle nieprzytomny? Na wszelki wypadek prezes postanowił zawiadomić milicję.

Sierżant, chociaż uznał, że jeszcze za wcześnie mówić o zaginięciu, zgłoszenie przyjął, prosząc o natychmiastową wiadomość, jeżeliby inżynier się odnalazł. Autobus pełen smętnych ludzi ruszył w dalszą drogę Pętlą Bieszczadzką, ale mimo wysiłków kierowcy osiągał jakieś kompromitująco małe prędkości, jakby i on zwątpił w celowość: błakania się wśród gór tych dwudziestu kilku wycieczkowiczów.

W poniedziałek rano wszyscy z wyjątkiem Kubiaka byli na swoich stanowiskach. Prezes przyszedł do pracy punktualnie, a mimo to już w drzwiach usłyszał dzwonek telefonu. Paniątka z międzymiastowej łączyła z Bieszczadami, z prezesem chciał rozmawiać komendant posterunku z miejscowości, w której spędziła pierwszą noc.

— Mam niedobłą wiadomość, panie prezesie — oznajmił komendant bez wstępów.

— Kubiak? — ni to powiedział, ni zapytał prezes. — Więc jednak coś się stało? Wszyscy mieliśmy złe przeczucia...

— Tak, jeżeliby wierzyć w przeczucia, to te się potwierdziły, Kubiak nie żyje. Jego zwłoki znaleziono wiszące na drzewie w odległości około dwustu metrów od ostatnich zabudowań.

— To znaczy co? — zdumiał się prezes, — Popełnił samobójstwo?

— Nie wiem, co to znaczy. Powtarzamy znaleźliśmy jego zwłoki. A i to nie jest całkowicie pewne, bo nikt go jeszcze nie rozpoznał. Znaleziono zwłoki mężczyzny, który w kieszeni miał dokumenty waszego pracownika, Kubiaka. Ale zanim dojdzie do zidentyfikowania zwłok, potrzebujemy kilku wstępnych informacji. Bo jednak to raczej on, fotografie na dokumentach odpowiadają... o ile to można sprawdzić oczywiście... twarzy denata. Więc tak: w dowodzie napisane jest, że Kubiak był żonaty. Znaczy się, zostawił rodzinę. Żonę, dzieci... Wiecie, jak to z nim było?

— Żonaty to on niby był, ale nie za bardzo.

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Albo był, albo nie był, innego wyjścia chyba nie ma?

— Wie pan, z tym jego małżeństwem... Niby to prywatne sprawy każdego pracownika, ale jesteśmy tak niewielkim zespołem, że mało co się ukryje, szczególnie że kolega Kubiak nie należał do skrytych. Przynajmniej nie zawsze. Bo czasami to z nim w ogóle nie było można rozmawiać.

— A co też się miało ukryć? — zapytał sierżant.

— To na ten przykład, że małżeństwo Kubiaka rozpadało się na gwałt. Mają... znaczy się, chciałem powiedzieć, że mieli dziecko, syna. Siedem — osiem lat, o ile sobie dobrze przypominam... Trzeba by zająć do akt, żeby wiedzieć dokładnie. Ale dziecko wychowują rodzice żony Kubiaka, przynajmniej tak było do ostatnich miesięcy.

— A wice Kubiakowie mieszkali sami?

— I znów nie mogę tak konkretnie potwierdzić. Mieszkali i nie mieszkali. Mówi się, że o umarłym tylko dobrze albo wcale, jednak... jeżeli to poważna sprawa, to chyba muszę... Więc trzeba powiedzieć, że Kubiak pił. I to ponad przyzwoitość. Można chyba uznać, że pił nałogowo. Ja wian, że prawie każdy trochę pije i to jeszcze o niczym nie świadczy, ale jak się trafiają lakiem i człowiekowi wielodniówki... nic nie wiemy, facet przepada, potem wraca, ale tak, jakby go pies przyniósł w zębach. Obiecywał, że to ostatni raz. Nie musiałem wierzyć i nie wierzyłem, szczerze mówiąc. Ale co miałem robić? To był wybitny fachowiec, takiego ze świecą szukać. On mi nawet nie był potrzebny każdego dnia. Jakby się zjawiał dwa, trzy razy w tygodniu, to i tak by wystarczyło. Bo do czarnej roboty ludzie zawsze się znajdują. Ale takich jak on, to za wielu nie ma. Obojętne: inżynier, doktor, docent. Zależy od człowieka. On pij trze bo wał pięciu minut, żeby wejść w zagadnienie i już wszystko było jasne. To jest prawidłowe, a to znów nie. W ten sposób wyjdzie mniej materiału. Początkowo to aż mi się wydawało nieprawdopodobne. Przychodzi facet na kacu i w ciągu kwadransa rozwiązuje wszystkie problemy, nad którymi od kilku tygodni głowiło się jego dwóch kolegów, a wszyscy oni mają identyczne wykształcenie i podobny staż. Sprawdzaliśmy oczywiście, jak to wypada w praktyce i na dwadzieścia czy trzydzieści przypadków raz tylko mieliśmy wątpliwości, a i "tak, jak się potem okazało, zupełnie nieuzasadnione, bo i na tym jego pomysłe zarobiliśmy niezłe pieniądze.

— No, ale takiego faceta, co tylko od czasu do czasu wpada, niekoniecznie trzeba mieć na etacie, prawda?

— A jasne, myśleliśmy i o tym. Przecież inni patrzą, ważna jest dyscyplina o racy, a jak pracownicy widzą, że komuś wolno to, niego im nie wolno, już nie bardzo zastanawiają się nad umiejętnościami i zasługami... Więc wreszcie Kubiakowi powiedziałem, że mimo całego uznania dla wyników jego pracy muszę od niego wymagać również dyscypliny. Tak samo, jak od innych, bo cała firma mi się któregoś dnia rozpadnie. Jeżeli nie zmieni się, to będziemy musieli się rozstać z żalem, ale trudno. Przyrzekł, że się postara, bo zależy mu na ludziach, z którymi przeżył kawałek życia.

— A w ogóle co to tył za człowiek? — zapytał komendant. — Miał na przykład wrogów, takich, którzy by mu źle życzyli?

— Prawie wyłącznie takich — odpowiedział prezes bez zastanowienia. — To był człowiek trudny do życia. Zadziorny, konfliktowy, bezkompromisowy. Wszystko w oczy i to słowami, które, prawda, nie zawsze można znaleźć w słownikach. Trudny we współżyciu, jeżeliby chcieć to krótko określić.

— No, dziękuję na razie. Bo to jeszcze pewnie nie koniec. Śledztwo przejmie Komenda Wojewódzka, a czego oni będą od was chcieli, trudno mi w tej chwili przewidzieć. Ale pewnie wszystko zacznie się od nowa, bo w poważnych sprawach każdy chce od początku sprawdzić sam, na własną rękę. I tylko jeszcze jedno. Mam do was prośbę, prezesie...

— Domyślam się nawet, jaką. Ta najbardziej niewdzięczna rola, zawiadomienie rodziny, prawda?

— No. właśnie. Wiem, że to nie jest przyjemne.

— Paskudna to misja, ale ktoś musi w końcu zawiadomić żonę, co się stało. Załatwione. Do widzenia.

Kapitan Jastrzębski prowadził już dwa śledztwa w Bieszczadach, jedno jesienią, drugie późną wiosną, znał więc specyficzny klimat tego regionu. Ubrał się w ocieplaną ortalionową kurtkę i wysokie buty. Na miejsce przyjechał następnego dnia po znalezieniu zwłok. Było pochmurno, ale nie padało.

Oczywiście ekipa techników pracowała tam jeszcze dnia poprzedniego. Nieboszczyka odwieziono do Zakładu Medycyny Sądowej. Tak postanowił prokurator, mimo że sekcję można też było zrobić w którymś z pobliskich szpitali. Kapitan miał ze sobą komplet fotografii zwłok, miejsca, gdzie je znaleziono, przedmiotów, które były w kieszeniach ubrania. W teczce wiozł też dobrze sporządzony szkic sytuacyjny oraz protokół oględzin, w którym wydawało się nic brakować żadnego szczegółu.

I mimo że Jastrzębski nie miał wątpliwości, iż wszystkie czynności zostały wykonane przez ekipę techniczną dobrze — swoją pracę w tej sprawie rozpoczął od wyjazdu w Bieszczady i dokładnego zapoznania się z terenem tragicznych wydarzeń. Zresztą pewnie każdy postąpiłby tak samo. I to chyba nie dlatego, że spodziewałby się znaleźć jakiś drobny, a niesłychanie ważny, decydujący o losach śledztwa ślad. na przykład ów sakramentalny niedopałek papierosa

Oczywiście każdy trochę no to liczy, często nie przyznając się nawet przed samym sobą, jednak tak naprawdę chodzi o co innego. Prowadzący śledztwo musi na własne oczy obejrzeć takie miejsce, pochodzić tam niby czegoś szukając, i wrócić może bez widocznych rezultatów, ale z zarejestrowanym w pamięci obrazem drzew, trawy, ścieżek. Z zapamiętaną atmosferą takiego miejsca. Wyobraźnia prowadzącego śledztwo

musi mieć te niezbędne realia, w które wcześniej czy później wtłoczy najbardziej nawet broniącego się sprawcę. W tym przypadku nie było jeszcze wyraźnie powiedziane, że w ogóle istnieje jakiś sprawca poza Kubiakiem, jednak wszyscy to czuli. Od pierwszego momentu nikt nie wierzył w samobójstwo. Ale nie mówiono również otwarcie na temat zabójstwa.

Szli; prowadził sierżant, komendant miejscowego posterunku milicji. Nogi grzęzły im w rozmokłej ziemi.

— Tak się dziwię od początku — powiedział sierżant. — Jak już się facet chciał powiesić, po cholere łazł taki kawał drogi? Miał bliżej pod dostatkiem odpowiednich drzew.

Wreszcie byli na miejscu. Stali na lekko pochyłej polance. Kapitan spojrzał pytająco na sierżanta.

— O, to drzewo — wskazał komendant. — Sznur był zaczepiony na tej gałęzi.

Kapitan wyjął fotografię, porównywał. Zgadzało się. Podeszedł pod tę gałąź, wyciągnął rękę do góry. Od czubków palców do gałęzi pozostało około trzydziestu centymetrów.

— Dosyć wysoko — mruknął do siebie.

— Cholera, nie miał gdzie tego zrobić — powiedział wreszcie sierżant to, co chciał dawno powiedzieć. — Jak już nosi! w sobie taki zamiar, to powinien u siebie. A tak? Co my do niego mamy? Nic o nim nie wiemy, on tu nikogo nie zna!...

— Jeżeli teraz nie wiemy, to się dowiemy — odezwał się kapitan. — A narzekać nie ma sensu. Stało się na naszym terenie, my musimy prowadzić śledztwo.

— Co będzie dalej? — pytał sierżant, kiedy wracali. Co prawda sprawę przejęła Komenda Wojewódzka, ale on był tu gospodarzem i musiał się nią również interesować.

— Na razie czekamy na wyniki sekcji zwłok. Od nich wiele zależy. Najważniejsze teraz to ustalić, czy to było samobójstwo, czy morderstwo.

— Myśli pan, że to mogło być morderstwo? — zapytał sierżant z wyraźnym niepokojem. — Ale co sekcja może wykazać? Facet przecież wisiał... To co, ktoś go powiesił?!

— Tak. I wtedy oczywiście byłyby też dwa warianty. Jeżeli go powieszono, to czy jeszcze żywego, czy też już martwego.

— Racja — przyznał sierżant. — Jak to dobrze, że my nie musimy się tym zajmować.

— Kto go znalazł?

— A taki chłopaczek. Ile on może mieć? Trzynaście, czternaście lat. Hałasu narobił na całą gminę, tak się wystraszył. Ten malec ciągle łązi po lesie za ptaszkami, jakieś liście zbiera, trawy... No jakby nie on, może jeszcze i dziś nie wiedzielibyśmy, że ten facet tu wisi. To spory kawałek od zabudowań, a teraz nikt tu nie chodzi.

Pyta pan, czy mój mąż miał kłopoty? — Kubiakowa unikała wzroku kapitana. — To znaczy takie, które mogłyby go doprowadzić do samobójstwa, tak? Bo kłopoty ma przecież każdy.

— Ja panią po prostu zapytałem, czy miał kłopoty. To pani powiedziała o samobójstwie.

— Nic nie wiem o żadnych poważnych kłopotach.

— A wasze życie osobiste?

— Ach, to pan ma na myśli — wreszcie spojrzała Jastrzębskiemu w oczy. — A jak może wyglądać życie osobiste z człowiekiem, który tak naprawdę miał tylko jedną wielką miłość: wódkę?

— Czyli, że między wami było źle?

— Tak. Od dłuższego czasu. Dawałam mu w ciągu ostatnich lat Bóg wie ile terminów. On dziesiątki razy przyrzekał, że już koniec z pić, że od dziś... Mijał dzień, dwa i wszystko zaczynało się od początku. Miał słaby charakter, a w takiej sprawie tylko człowiek sam sobie *może* pomóc.

— Czy miewał po alkoholu jakieś stany depresyjne?

— Stany depresyjne? Takie pijackie wahania nastroju to często. Ale żeby depresje samobójcze? Chyba nie. Rano, kiedy wstawał na kacu, mawiał, że ma ochotę napluć w lustro w czasie golenia. I że na szczęście nie ma pistoletu, bo strzeliłby sobie w łeb z tego wszystkiego. Nie, napadów szału nie miewał, był raczej spokojny, to znaczy żadnych gestów agresywnych i tak dalej...

— Tak tu sobie o nim rozmawiamy, że był taki i owaki. A ja słyszałem inną wersję waszych stosunków. I w tamtej wersji pani gra rolę znacznie poważniejszą, niż w tym, co mi tu pani przedstawia.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — powiedziała, ale widać było, że dokładnie rozumie, co kapitan ma na myśli.

— Słyszałem, że pani mąż pił, ale nie tak sam z siebie, tylko dlatego, że miał kłopoty osobiste. Kłopoty osobiste związane z panią.

— Ach, więc jednak! Właściwie to mogłam przypuszczać, że znajdzie się ktoś życzliwy, kto przekaże milicji wszystko, co wie, i jeszcze o wiele więcej. Ot tak, na wszelki wypadek.

— Ciekaw jestem, jak to sobie pani wyobrażała? Przecież zginął człowiek. Trzeba ustalić, jak i dlaczego. Kończąc wstęp: był ktoś w pani życiu poza mężem? Chodzi oczywiście o mężczyznę.

— Był i jest — powiedziała Kubiakowa bez zastanowienia. — Ale to nie ma żadnego związku ze śmiercią mojego męża. Ani ja, ani ten człowiek nie mamy nic wspólnego z tą śmiercią. Zresztą szukanie tak zwanych moralnych sprawców to nie jest chyba najważniejsza rola milicji.

— Pełna zgodność poglądów. Ale też ja nie szukam moralnych sprawców śmierci pani męża. Szukam sprawców fizycznych, proszę pani. I znajdę ich, chociażby weszli pod ziemię.

— A więc... — Kubiakowa przełknęła ślinę. — Więc chce pan powiedzieć, że mój mąż nie popełnił samobójstwa?

— To na razie przypuszczenie. Ale wystarczająco uzasadnione, żeby pytać panią o kontakty osobiste, które nie miały związku z pani mężem. Kim jest ten mężczyzna?

— Więc pan rzeczywiście podejrzewa...

— Niczego nie podejrzewam. Zadałem pytanie i czekam na odpowiedź.

— Proszę bardzo — Kubiakowa wyjęła z torebki wizytówkę i wręczyła ją kapitanowi. Jastrzębski przeczytał ją i zaraz podszedł do aparatu telefonicznego. Wykręcił numer.

— Porucznika Wasilewskiego proszę — powiedział po chwili. I dalej: — Weź coś do pisania, dyktuję ci adres tego znajomego Kubiakowej. Jedź tam zaraz i przesłuchaj go. Wiesz, o co masz pytać? Ja wracam do nas, muszę się skontaktować z prokuratorem. Po drodze odbiorę wyniki sekcji

zwłok, miały być już gotowe. Wiesz, gdzie mnie szukać, jeśli się coś wydarzyło? No to dobrze. Cześć.

— Moim zdaniem nie ma cienia wątpliwości — powiedział kapitan Jastrzębski — Kubiak został zamordowany, nie widzę innej możliwości. Został zamordowany i to w sposób dosyć rzadko spotykany w historii kryminalistyki. To znaczy wieszano **wielu** ludzi, ale przeważnie nie udawano, że denat powiesił się sam.

— Domyślam się, że jest już protokół sekcji zwłok — powiedział prokurator.

— Tak, oczywiście. Proszę. — Kapitan położył na biurku kilka kartek sztywnego, zapisanego maszynowym pismem papieru. Prokurator zaczął czytać.

— No tak — odezwał się po chwili. — Przyczyną zgonu było zerwanie rdzenia kręgowego. Tak się właśnie dzieje w czasie powieszenia. Więc zginął tam, na tym sznurze, nie powieszono zwłok.

— To oczywiste. Dalej — kiedy zginął? Wypada, że około czwartej, piątej nad ranem.

— No i jeszcze jedna ważna sprawa. Ważna, chociaż nie bezpośrednio związana ze śmiercią. Ta przepuklina. Kubiak miał przepuklinę, która utrudniała mu nawet zwykłe ruchy. A co dopiero tę ekwilibrystykę, której musiałby dokonać, żeby w tych warunkach popełnić samobójstwo.

— Właśnie, nie widziałem wiszących zwłok na własne oczy, ale te fotografie wykonane są bardzo dobrze. O, proszę, tutaj nawet technicy położyli na zdjęcie specjalną szachownicę, a każde z pól ma centymetr. Widać wyraźnie, że od końców wyciągniętych stóp do ziemi jest prawie piętnaście centymetrów. Więc, żeby sam mógł to zrobić...

— Tak, tak — przerwał mu prokurator. — Są dwie możliwości. Pierwsza: wszedł na jakiś przedmiot, kamień, kłodę, puszkę, obojętnie co, a potem kopnął to i zawisnął. Tylko że żadnego takiego przedmiotu nie znaleziono. Przecież nie wyparował, prawda? A drugą możliwość praktycznie wyklucza ta przepuklina. Nie mógł wdrapać się na drzewo pozbawione konarów do wysokości dwóch i pół metra, mając przepuklinę w takim sianie.

— No i do tego będąc kompletnie pijany. Bo nic zdążyłem jeszcze pokazać protokołu badania krwi na zawartość alkoholu. Trzy promille, jedenaście setnych. W pobliżu zaczyna się już dawka śmiertelna. Bywały przecież przypadki śmiertelnego zatrucia alkoholem przy stężeniu trzy i pół promille.

— Więc od tej strony sprawę mamy jasną — podsumował prokurator. — Ktoś wydał na Kubiaka wyrok śmierci i wykonał go w sobotę wczesnym rankiem. Przejrzę później dokładnie wszystkie dokumenty. Czy coś ciekawego znaleziono przy zwłokach albo w pobliżu?

— Jeżeli chodzi o ślady, to nie ma na co Uczyć. Przez cały piątek i sobotę padał deszcz. Szczególnie gęsty właśnie w sobotę. Wszystko zmyła woda. W pobliżu zwłok też nic.

— A w kieszeniach?

— No cóż. portfel z dokumentami i pieniędzmi, więc jakby się komu przyśnił mord na tle rabunkowym, to musi go sobie szybko wybić z głowy. Sygnet, obrączka, złoty zegarek...

— Ile było tych pieniędzy?

— Sporo, prawie dziesięć tysięcy. Ale zdaje się, że to był człowiek i zarabiający bardzo dużo, i bardzo dużo wydający. A więc prawdopodobnie miał zwyczaj nosić takie mniej więcej kwoty. A jeżeli się jeszcze doliczy, że na kilka dni wyjeżdżał z domu...

— Coś poza tym?

— Drobiazgi, chyba bez znaczenia. Trochę mnie zastanowił jego kalendarz.

— Taki kieszonkowy, z notesem?

— Bez notesu. Spory, ale bez notesu. Tylko spis adresów i telefonów i obszerny kalendarz: tydzień na dwóch stronach.

— Co tam jest ciekawego?

— Nie wiadomo, czy to ma jakieś znaczenie, ale z tego kalendarza zostały wyrwane dwie kartki. Cały ubiegły tydzień.

— Może to coś znaczyć, a może nie znaczyć nic. I chyba tyle, co? Współczuję panu, że musicie całe śledztwo prowadzić w terenie. Ale na to już się nic nie poradzi.

Eksperyment śledczy wyglądał makabrycznie nawet dla funkcjonariuszy z wieloletnim stażem, którzy właściwie widzieli już wszystko. Kukła do złudzenia przypominała człowieka, wykonana została wyjątkowo starannie: zgadzać się musiała i waga, i wzrost. Kubiak nie był mężczyzną o imponujących warunkach fizycznych. Jak wynikało z protokołu sekcji zwłok, po śmierci ważył sześćdziesiąt osiem kilogramów przy wzroście sto siedemdziesiąt centymetrów.

To dziwne przedstawienie odegrano tuż po świcie, około piątej rano, ale i tak zebrało się trochę gapiów spośród mieszkańców osady. Staruszka w czarnej chuście na głowie przeżegnała się, kiedy kukłę wyciągano z milicyjnej furgonetki. Potem — jakby ukradkiem — jeszcze kilka razy powtórzyła to szybkie ruchy.

Zaczęło na szosie tuż koło gospody. Prokurator, kapitan Jastrzębski i porucznik Wasilewski obserwowali bezpośredniego wykonawcę eksperymentu, potężnie zbudowanemu wywiadowcę, byłego boksera Jednego z gwardyjskich klubów. Wywiadowca miał na razie za zadanie przetransportować kukłę na miejsce zbrodni.

Mima że był osiłkiem — nie szło mu to łatwo. Kukła wymykała się z rąk. Nie bardzo wiedział, jak ma ją nieść. Próbował zarzucić ją sobie na ramię, polem wziąć pod pachę. Co kilkanaście kroków musiał zatrzymać się, poprawiać kukłę na ramieniu albo w ogóle zmieniać sposób niesienia.

— Spróbujcie, czy nie uda się wam go niby prowadzić — powiedział prokurator. — Jakbyście prowadzili człowieka, który ledwie trzyma się na nogach i trochę nimi przebiera. Jedną rękę manekina zarzućcie sobie na szyję i trzymajcie go za tę rękę, a drugą ręką podtrzymujcie go w pasie.

Ten sposób okazał się dosyć skuteczny. Z dużym trudem wywiadowca transportował kukłę przez rów odgradzący szosę od wąskiej łąki, potem ścieżką przez łąkę do pobliskiego lasu. Po kilku minutach byli na miejscu. Wywiadowca rzucił kukłę na ziemię. Ciężko dyszał, twarz miał pokrytą potem.

— Cholera, myślałem, że to pójdzie znacznie łatwiej — powiedział, z trudem łapiąc oddech. — Czegoście lam nakładli temu facetowi do środka?

— Tajemnica służbowa — uśmiechnął się Wasilewski.

— Niestety, nie macie wiele czasu na odpoczynek — ponaglał prokurator. — Sprawca wykonał część zadania, jest zmęczony, ale najważniejsze i najtrudniejsze jeszcze przed nim. A musi się spieszyć, bo rozwidnia się, niedługo ludzie wyjdą z domów. No, dalej, do dzieła.

Kukła nadal leżała na ziemi, natomiast atletyczny wywiadowca wyjął z kieszeni zwiniętą nylonową linkę. Zawiązał na niej niewielką pętlę, przez pętlę przeciągnął drugi koniec. Wspinając się na palce, miłował dosięgnąć gałęzi, na której tydzień temu linka została zawiązana. Zabiegi te okazały się nieskuteczne, mimo że wspinał się na palce i mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt — brakowało mu około dziesięciu centymetrów.

Westchnął i zbliżył się do pnia drzewa. Pień był gładki, żadnych gałęzi w zasięgu ręki. Wywiadowca z trudem wspinał się kilkadziesiąt centymetrów, obejmując drzewo oburącz i kolanami. Już dosięgał pierwszej gałęzi, podciągnął tułów — i znalazł się na koronie drzewa. Tam przesunął się po gałęzi, zawiązał linkę. Zeskoczył i zaraz zaklął pod nosem. Pętla chwiała się na wysokości jego ramion.

— Niestety za nisko — zauważył kapitan.

— Niech to szlag trafi — powiedział wywiadowca i znów zaczął się wspinać na drzewo. Nie bez trudu odwiązał linkę, podciągnął ją nieco w górę i dopiero przytwierdził do gałęzi. Zeskoczył na dół. Tym razem koniec pętli wisiał na wysokości jego oczu, ale nie była wyprostowana. Pociągnął ją na dół. Kiedy rozprostowała się, pętla znalazła się na wysokości jego brody.

Pozostał już tylko ostatni akt. Wywiadowca zbliżył się do kukły, ustawił ją w pozycji pionowej, po czym przetransportował manekin w pobliże linki. Oburącz u-niósł go w ten sposób, że zwisające nogi znalazły się około dwudziestu centymetrów nad ziemią, i zaczął tak manipulować, by pętla sznura otoczyła szyję kukły. Dwukrotnie wydawało się, że trzymany tylko jedną ręką korpus wyśliznie się i upadnie, ale w końcu pętla zacisnęła się na szyi.

— Teraz wystarczy po prostu puścić ciało i wyrok będzie wykonany — powiedział prokurator.

Lina skrzypnęła, drzewo zakolysało się. Kukła zawisała dziesięć centymetrów nad ziemią. Wywiadowca otarł pot z czoła.

— Czuję się jak po trzech pełnych rundach i to nie byle jakiej walki. Takiej walki, w której raz czy dwa byłem na deskach. Ciężki kawałek chleba.

— No, zdjąć to już możemy wspólnie, prawda? — ni to powiedział, ni zapytał kapitan Jastrzębski. Wszyscy zbliżyli się do wiszącej kukły i zdjęli ją. Kierowca furgonetki wdrapał się na drzewo i odwiązał linkę.

Protokół z eksperymentu śledczego sporządzono w samochodzie. Po dokładnym o-pisie kolejnych czynności, podaniu czasu, jaki poszczególne czynności zajęły — przystąpiono do formułowania wniosków. A wniosek był taki: dokonanie przestępstwa przez jedną osobę było możliwe, jeżeli uwzględni się, że sprawca dysponował dużą siłą fizyczną i — prawdopodobnie — wysokim wzrostem. Znacznie łatwiejsze byłoby popełnienie morderstwa — przy tym sposobie działania — przez dwie lub więcej osób. Wszystkie czynności opisane w protokole zajęły dziewiętnaście minut.

W czasie, kiedy porucznik Wasilewski kończył przesłuchanie Osińskiego, kochanka Kubiakowej, do komendy zgłosiła się energiczna kobieta w średnim wieku oświadczając, że jest siostrą Kubiaka i musi niezwłocznie rozmawiać z oficerem prowadzącym śledztwo w sprawie śmierci jej brata. Ma bardzo ważne wiadomości, które mogą mieć wpływ na dalszy bieg postępowania. Już po kilku minutach siedziała naprzeciwko biurka kapitana Jastrzębskiego i mówiła tonem prokuratora wygłaszającego mowę oskarżycielską.

— Ostrzegałam go od początku przed tą diabolicą, ale przecież jeżeli mężczyzna zgłupieje na punkcie jakiejś kobiety, nie ma żadnego sposobu, żeby go powstrzymać. Wszystko, co się robi, przynosi efekt odwrotny. Zamiast zmusić do rozsądnego myślenia, podtrzymało go jeszcze w bezsensownej decyzji.

Tak było w sprawie dziecka — oczywiście to, co powiem, mówię tylko do pańskiej wiadomości. Tłumaczyłam bratu: „Opamiętaj się. Skąd masz pewność, że dziecko jest twoje. Znasz ją dwa czy trzy miesiące, ledwie rękę zdążyłeś jej podać, a ona jest już w trzecim miesiącu ciąży!” Ale nie. „To moje dziecko” — powiedział. Specjalnie potem obserwowałam małego, porównywałam go. Żadnego podobieństwa.

A ich życie po Ślubie... Jurek był wybitnie zdolnym konstruktorem, wynalazcą.

Owszem, zdarzało mu się wypić i przed ślubem. Ale dopiero po ślubie przyszło najgorsze. Ona podcinała mu skrzydła, egoistycznie, bo przecież działając na szkodę rodziny, odciągała go od pracy, kazała siedzieć w domu i sobie asystować. Poza tym ciągle podejrzewał ją o zdradę. Ja wiem, co ona teraz mówi. Ze Jurek pił i dlatego ich małżeństwo uległo rozpadowi. Ale dlaczego pił, pytam? Dlaczego? O tym to już nie mówi. Przez nią! I stało się tak, jak przepowiadałam. Wreszcie przestała się kryć, oficjalnie zaczęła się szlajać z gachem. Dobrali się jak w korcu maku. Widział go pan? Podobno muzyk jakiś. Taki stary kawaler, żadna kobieta się nim nie zainteresowała przez czterdzieści lat, dopiero moja bratowa oddała mu się duszą i ciałem. Dla Jurka to był straszliwy cios. Nigdy nie pił tak jak ostatnio. Pocieszałam go, jak mogłam, mówiłam, żeby wreszcie rzucił to wszystko i zaczął nowe życie, na takim poziomie, na jaki zasługuje. Ale nic nie mogłam zdziałać. On powtarzał, że ją nienawidzi, ale zaraz dodawał, że również kocha i nie wyobraża sobie życia bez niej. Że jak pomyśli o przyszłości bez niej, tej Krystyny — widzi jakąś szarą przepaść. Dokładnie tak powiedział: szarą przepaść. Tłumaczyłam mu, że już nic nie poradzi, skoro ta kobieta nie zwraca na nic uwagi, jest gotowa na wszystko, a on nie ma żadnych szans doprowadzić do poprzedniego stanu. I właśnie wtedy zacisnął zęby, uderzył pięścią w stół i powiedział, że nie złożył jeszcze broni. Będzie walczył i wbrew temu, co mówię — ma poważne atuty w rękę. Był wtedy po kilku kieliszkach i to mu rozwiązało język, ale nie zmąciło umysłu. „Trzymam ich w garści — powtarzał jeszcze potem kilka razy. — Dopóki mam ten argument, ona nie odejdzie ode mnie. Chyba że sam jej pozwolę. Jestem i będę panem sytuacji”.

I coś w tym było, panie kapitanie... Bo proszę popatrzeć — z jednej strony żona zachowuje się jak skończona ladacznica, nie Wstydi się Boga i ludzi, a z drugiej, mimo że ten Osiński ma swój dom i żadnych obciążeń rodzinnych — ona ciągle nie wyprowadza się od męża. Sytuacja taka trwała całymi miesiącami. To oni! — krzyknęła wreszcie. — To oni zabili Jurka! Jestem tego pewna. Chcieli uwolnić się od niego, bo on wiedział coś, czego się bardzo bali.

— A nie domyśla się pani. czego mogła obawiać się pani bratowa?

— Niestety, nie. Jurek nie chciał mi nic więcej powiedzieć. Ale to chyba ważne, że bali się go i żeby przestać się bać — musieli się go pozbyć? To jest według mnie wszystko jasne...

Gospoda, w której ostatni raz widziano Kubiaka żywego, otwarta jest w godzinach od dziewiątej do dwudziestej drugiej. Taką właśnie informację wypisano na drzwiach, jednak od teorii tej istniały liczne odstępstwa. Przy odrobinie cierpliwości można tam było wejść głównymi drzwiami jeszcze o wpół do jedenastej, a nawet o jedenastej wieczorem. Wystarczyło tylko trochę postukać. Natomiast dla wtajemniczonych praktycznie nie istniały w ogóle żadne ograniczenia czasowe. W tylnej salce, za szczelne zamkniętymi okiennicami, ucztowano co wczesnego rana — oczywiście jeżeli była wystarczająca liczba chętnych.

Jak bez trudu ustalono — tak też działo się i tamtej nocy. podczas której zginął Kubiak. Początkowo kierownik restauracji nawet się oburzył, kiedy funkcjonariusz wspomniał, że milicji znane są te praktyki. Gdy jednak dowiedział się, że chodzi o zamordowanie jednego z jego gości, bez chwili namysłu zmienił front.

— Broń Boże. żeby tak zawsze było — zastrzegął się tylko. — Ale jak znajomi poproszą... Miękkie mam serce, panie poruczniku. Niech pan sam powie, co tu można wieczorem robić w takiej guszy? A jak się jeszcze kto pokłóci z żoną... Albo w ogóle nie ma żony... Tak, że czasami ustępuję. Zgadza się. pamiętam ten piątek. Było dużo gości. Siedzieliśmy do późna w tylnej sali.

— Do której?

— Czy ja wiem? Prawdę mówiąc i ja... Co to ja chciałem powiedzieć... No, te parę kieliszków... Wie pan, jak to wtedy z pamięcią. Uważałem tylko, żeby dokładnie wszystko pozamykać. Ale godzina? Chyba zaczynało świtać.

— Dużo tam mieliście ludzi?

— W tej sali od tyłu? Jest pleć stolików i wszystkie były zajęte. Mogło siedzieć z piętnaście osób, góra dwadzieścia, ale pewnie tyle nie...

— Co to byli za ludzie?

— Och, panie poruczniku...

— Przecież sam pan powiedział, że tylko znajomi mieli tam wstęp,

— No, znowu nie tak... Dajmy na to, że uczciwi ludzie w potrzebie. Rozumie pan?

— Znaczy, że praktycznie każdy, kto ma pieniądze.

— Pijaka i łobuza nie wpuszczę. Żeby mi jeszcze kłopotów narobił?

— Dobrze już. dobrze. Po kolei — kogo pan pamięta?

— No więc tak. Dwa stoliki pod piecem zajmowali tutejsi. Robią przy drzewie, wie pan. Ratajczyk był, Kuczkowski i Jasiński. To jeden stolik. Przy drugim bez przerwy kłócili się Olczyk z Jaworskim. Jaworski ma tu łaką gospodarkę, sporo bydła, owiec. Wiem, że Olczyk pracował u niego jakiś czas i nie mogli dojść do zgody. O pieniądze szło. Dwa kieliszki pobili, szamotać się zaczęli, jakoś ich uspokoiłem. Ale i lak co chwila któryś się rozdierał. Już tam na zapleczu wypili po pół litra.

— A reszta? Ci pozostali?

— Co mogę powiedzieć? Obcy. Przyszli i poszli. Kto ich lam wie. co za jedni?

— Ten był tam? — porucznik pokazał fotografię Kubiaka.

— A jakże, był — powiedział kierownik. — To inżynier. Jak się zorientowałem, z jakiejś wycieczki. Byli we dwóch, to znaczy ten inżynier i jego kolega. Ten drugi wysoki, chudy, z wąsikami. Ale inżynier z nim prawie nie siedział. Wie pan, bywają tacy Koście, co jak są w cugu — cały świat jest dla nich. I ten inżynier zdaje się taki. Każdemu miał coś do powiedzenia. Ale nie tak, żeby się czepiał... Grzeczny był, wódkę stawiał. Przysiadł się do stolików już na tamtej sali. Goście się zgadzali, to co mnie do tego? Tamten chudy odciągał go. ale inżynier się nie dawał. Jak chudzielec marudził, to inżynier mu mówił, że pije za jego, inżyniera, pieniądze i żeby siedział cicho.

— A ten drugi jak reagował?

— Denerwował się strasznie. Miny takie stroił, jakby chciał inżynierowi zrobić wielką krzywdę. I powiedział, zapamiętałem, że po pierwsze pije może dziesiątą część tego, co inżynier, ale jeżeli już pije, to za swoje. A inżynier na to: „Siedzisz w mojej kieszeni”. Dalej mówił: „Tylko od mojego humoru zależy, czy będziesz dalej miał tę forszę, czy nie”.

— Wyszli razem?

— Jeżeli dobrze pamiętam, to nie. Ten chudy wyszedł pierwszy. Zdenerwowany okropnie. Aż się trząsał. Kapelusz mu dwa razy z ręki wylatywał.

— He wcześniej mógł wyjść?

— Już mówiłem, że tak w czasie nie dam rady wszystkiego ustawić, ale może godzinę przed zamknięciem.

— A reszta? Inżynier i pozostali? Kiedy wyszli?

— To już podnieśli się razem. Ze dwa razy mówiłem, że zamykamy. Ale pan wir., jak to z pijanymi. Musiałem wyłączyć światło raz i drugi. Tak im pomrugałem, żeby spostrzegli. To zaczęli się zabierać. I wyszli wszyscy razem. A pani Helena, moja bufetowa, poszła wcześniej. Tuż po tym chudym, Śpiąca była i zmęczona, nie miałem serca jej trzymać.

— Widział pan, jak wychodzili? To znaczy, kto z kim?

— Panie poruczniku, ja zamykałem lokal. Posprawdzać trzeba światło, okiennice. Potem kłódki. To jest robota. A kto z kim szedł? Bóg z nimi, byle tylko do domów trafili.

— Jeden właśnie nie trafił.

— Ano, podobno tak. Ale więcej już nic nie wiem. Chyba że jakiś drobiazg, ale to już jak pan zapyta.

— Panie prezesie, musimy wrócić do pewnych szczegółów tamtego dnia. Czy pamięta pan, z kim wychodził Kubiak do lej gospody?

— Nie, naprawdę. Usiłowałem sobie przypomnieć jakieś nowe szczegóły, ale...

Jeżeliby człowiek wiedział, że to może być potrzebne, to by się nastawił... A tak? Ktoś

mi wspomniał, że Kubiak poszedł do knajpy i pije z obcymi. Co mogłem? Powiedziałem, że dorosły człowiek sam sobą rządzi.

— Był z takim wysokim, szczupłym mężczyzną. Z waszej wycieczki.

— Wysoki i szczupły. Zaraz, zaraz...

— Z wąsami.

— Ach, to już wiem! Oczywiście, Romanowski. Ale on przecież mało pije. Nie kompan dla Kubiaka. Jeden beczka bez dna, drugi taki koniakowy typ, pan rozumie?

— Chyba rozumiem — kapitan Jastrzębski uśmiechnął się. — Ktoś taki, co smakuje dobro alkohole. Kawa, koniak... Jeden kieliszek, góra dwa...

— O, właśnie. Dokładnie to. Duży, nudny facet, który przestrzega form towarzyskich i tak dalej. I Kubiak jako kompan? To był co prawda piekielnie inteligentny facet, ale rzeczywiście pijak i ordynus. z którym się nie krył, nikim się nie kępował. Słowo daję, chciałbym ich widzieć w tej knajpie. Bo to chyba nie jest wytworny lokal, więc Romanowski na pewno wycierał zapasową chusteczką do nosa każdy kieliszek i każdy widelec. A Kubiak pokazywał go wszystkim, żeby się mogli napatrzeć. Zupełnie jakbym lam był z nimi.

— Co ich łączyło w takim razie? Dlaczego Romanowski poszedł z Kubiakiem?

— Kto ich lam wie? doświadczenia mogę powiedzieć, że czasami w takiego spokojnego człowieka wstępuje wieczorem diabeł. Idzie w Polskę tak, jakby to robił codziennie. Cholera wie, co wtedy taki myśli. Może, że lata lecą, żona się starzeje i on też, że pewnie to już ostatnia szansa... Myślę, że Romanowski mógł wejść wtedy na taką orbitę. 130 jakie TU jeszcze dać wytłumaczenie?

— Kłócili się w gospodzie. I to kłócili się o jakieś pieniądze.

— O pieniądze? — prezes poderwał się. — Kłócili się jeszcze o pieniądze?

— Dlaczego pan się tak dziwi?

— Panie, toż to potentaci! Życzyłbym sobie takiej forsy, jaką oni mają.

— Nie rozumiem. O jakich pieniądzach pan mówi?

— Kapitanie, właściwie zapomniałem o tym od razu powiedzieć, chociaż powinienem pamiętać. Kubiak i Romanowski to spółka wynalazcza, mają patent na znaczną część naszej produkcji. I ciągną z tego niezły grosz każdego miesiąca. Oczywiście nie licząc pensji. Same opłaty patentowe.

— Dawna historia ten patent?

— Nie bardzo. Trzy, cztery lata. Doszło nawet do sprawy sądowej, którą spółdzielnia przegrała. Wie pan, jak to jest, nie było mocnych, żeby podpisywali do wypłaty takie kwoty, więc nic obeszło się bez procesu. Oni wygrali. Pieniądze idą na pół, i to duże pieniądze. O co im jeszcze chodziło

Kubiak mówił, że Romanowski pije za jego pieniądze.

— Coś takiego! Aż uwierzyć trudno.

— Bo co? Paradoks jakiś?

— Cholera wie. Tylko że Kubiak nigdy nie zwracał uwagi na forszę. Zawsze ją miał. Tak mu się układało. I tu nagle współnikowi wypomina. Dziwna sprawa.

— Co by to mogło znaczyć?

— Pewnie pijackie głędzenie. Ale mówi pan — kłócili się? O ile znam Romanowskiego, to on by wyszedł po pierwszym obraźliwym słowie.

— Nie wyszedł. Po oficjalnym zamknięciu lokalu przenieśli się do takiej półlegalnej salki. Tam dalej popijali i kłócili się. To znaczy, czy pił i Romanowski, nie wiem.

— Coś podobnego! Cóż to ugryzło tego Romanowskiego!

— Nie można sprawdzić, kiedy on wrócił na kwatere? Może ktoś panu coś mówił na ten temat. Ktoś, kto nic spał na przykład albo obudził się, kiedy tamten wracał.

— Nie, nic takiego do mnie nie dotarło. Panie kapitanie, szmat drogi przejechaliśmy, potem, nie wiem, każdy po kieliszku na sen... To kto się obudzi, szczególnie jak wchodzi Romanowski. Toż on na pewno buty zdjął jeszcze na ulicy, choćby już tam słyszał chrapanie.

— Nie rozmawiał pan z gospodarzem kwatery? No, rano, przed odjazdem.

— A jakżeby nie. Pytałem, czy wszystko w porządku, przy świadkach. Żeby potem nie było, że odjeżdżamy i dopiero kiedy nas nie ma, okazuje się, że coś niby zniszczone i trzeba płacić, nie wiadomo za co.

— Nie skarżył się na nic?

— Nie, mówił, że dosyć spokojna, grupa w ogóle. I że tylko raz w nocy drzwi otwierał.

— Wpuszczał kogoś czy wpuszczał?

— Tego to już nie wiem. Nie pytałem. Ale tak teraz myślę, że pewnie wpuszczał Romanowskiego.

— Nie doszło do pana nic na temat ich konfliktów?

— Znaczą Kubiaka i Romanowskiego? Nie. To była dziwna spółka... No, ludzie, którzy razem zarabiają duży pieniądz, nie muszą się zaraz kochać. Każdy bierze swoje i po wszystkim. Ale żeby jakieś spory?

Nic nie słyszałem. A jakby coś było, to bym wiedział. W końcu jestem prezesem tego interesu i muszę się orientować, co się w nim dzieje.

Willa, w której mieszkał Kazimierz Romanowski, sprawiała wrażenie opuszczonej. Wszystkie okna były ciemne, furtka zamknięta. Jastrzębski kilkakrotnie naciskał guzik przy furtce, ale w domu nie odezwał się żaden głos, widocznie dzwonek był zepsuty albo brzmiał bardzo słabo. Kapitan zastukał jeszcze, choć już

bez przekonania w blachę, z której zrobiono furtkę, odczekał chwilę, w końcu wzruszył ramionami i odszedł. Na razie jednak jeszcze nie rezygnował: obejrzał willę z drugiej strony. Wszędzie ciemno, żadnego ruchu. Wsiadł do swojego samochodu i odjechał.

W biurze komendy sięgnął po książkę telefoniczną, by odnaleźć w niej numer mieszkania Romanowskiego. Powoli wykręcał cyfry. Usłyszał przeciągły, jednostajny sygnał. Liczył: jeden, dwa, trzy, cztery. Odłożył słuchawkę, ale po chwili wykręcił znów ten sam numer.

Trzasnęło, potem jeszcze chwilę trwała cisza, aż wreszcie odezwał się przytłumiony, jakby bardzo daleki kobiecy głos.

— Słucham?

— Pani Romanowska? Mówi kapitan Jastrzębski z Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

— To niemożliwe — jej głos załamał się.

— Jak to niemożliwe? — poderwał się kapitan. Czy coś się stało?

— Nie wiem, proszę pana. Mój mąż... zaginał. Wczoraj po południu wyszedł na chwilę z domu... mówił, że ma jakąś ważną sprawę, ale nie zajmie mu ona wiole czasu. I dotąd nie wrócił...

— Pani się czegoś boi.

— Ja nawet nie jestem pewna, czy pan jest tym, za kogo się pan podaje! — zaszlochała.

— To zawsze można sprawdzić. Podyktuję pani numer komendy i mój wewnętrzny, potem odłożę słuchawkę i pani do mnie zadzwoni.

— Dobrze — pociągnęła nosem.

Telefon odezwał się po kilkudziesięciu sekundach.

— Pytał pan, czego się boję. Nie wiem, czy i pan by się nie bał. Wczoraj ginie mąż. Nikt nic nie wie. A dziś od zmierzchu zaczęły się te telefony.

— Jakie telefony?

— Głuche. Ktoś stale wykręca mój numer. Podnosiłam słuchawkę, ciągle liczyłam, że to dzwoni Kazik, ale nikt się nie odzywał. Słyszałam czyjś oddech, to trwało kilka, może dziesięć sekund. Potem trzask

odkładanej słuchawki. Po paru minutach

historia się powtarzała. Wreszcie w całym domu zgasło światło. I tak siedzę po ciemku, z tym dzwoniącym telefonem... Chciałam gdzieś wyjść, do siostry, znajomych... Już otworzyłam drzwi, ale cofnęłam się. Ktoś czai się pod moim domem. Wyraźnie widziałam ognik papierosa na wysokości półtora metra nad ziemią. Ktoś ciągle jest po drugiej stronie ulicy naprzeciwko mojego domu. Niech pan zaczeka... Tak, i teraz też go widzę. Stoi nieruchomo, czeka... Na co on może czekać, na męża? Może na mnie. Iż wyjdę z domu? Co mam robić, proszę pana? Co się siato z moim mężem, co się mogło siać?

— Jeszcze nie wiem, proszę pani, ale wyjaśnimy to. Na razie proszę nigdzie nie wychodzić i czekać na mnie. Przyjadę milicyjnym samochodem, nie będzie pani miała wątpliwości. Zatrąbię trzy razy. Nikomu innemu proszę nie otwierać. Już wyjeżdżam.

Na miejscu byli po niespełna dziesięciu minutach, jednak nie podjechali pod sam dom. Kapitan kazał zaparkować wóz w bocznej ulicy, około stu metrów od willi, kierowcę zostawił w samochodzie, a sam wraz z wywiadowcą poszedł dalej pieszo. Rozdzielili się przy sąsiedniej ulicy i zbliżali się do willi Romanowskich z dwóch stron. Ulica była zupełnie pusta, nikt nie przechodził. Spotkali się przy furtce.

— Nic — powiedział kapitan. — Żywego ducha.

— Właśnie. A płoty przylegają do siebie, nikt nie mógł się wymknąć.

Wrócili do samochodu, podjechali pod dom, kapitan polecił kierowcy trzykrotnie nacisnąć klakson. Po dłuższej chwili w okienku przy drzwiach wejściowych zamigotał płomień świecy. Kobieta wpuściła ich do środka.

— Panowie, ratujcie go... — wyszeptała; jej twarz była mokra od łez. — Szukajcie go. Ja wiem, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Czuję to.

— Ale jakie niebezpieczeństwo? — pytał kapitan. — Czy pani wie coś konkretnego? Dokąd mąż mógł pojechać? Z kim się ostatnio kontaktował? Czy mówił, że coś mu grozi?

— Nie wiem, nic nie wiem! — krzyknęła histerycznie. — Ratujcie go! — I zaczęła się bezwładnie osuwać na podłogę. Kapitan w ostatniej chwili zdołał chwycić ją pod ramiona.

Przenieśli zemdloną na kanapę. Wywiadowca zbadał puls.

— Omdlenie — powiedział. — Ale chyba nic poważnego. Wystarczy trochę zimnej wody, a przyjdzie do siebie.

Chwiejny płomyk dopalającej się na parapecie świecy kładł migotliwe refleksy na bladej twarzy leżącej.

Jechał szosą porośniętą wysokimi, starymi drzewami, Było ciemno, światła reflektorów przebijały mrok zaledwie w zasięgu kilkudziesięciu metrów. Sunął w tym ruchomym korytarzu światła i mówił do siebie półgłosem. Czuł się zmęczony, co chwila powieki przesłaniały mu oczy. Na chwilę zatrzymał się, ale zaczął zasypiać na dobre — więc znów włączył motor. Natychmiast nabrał szybkości.

Żeby było z kim porozmawiać — pomyślał. — Żebym miał do kogo otworzyć usta.

Zakręt, a tuż za zakretem rozchybotana postać jadącego zakosami rowerzysty. Gwałtowny ruch kierownicą i rowerzysta został z boku. Był pewien, że blacha samochodu otarła się o tego człowieka, ale nie dało się odczuć uderzenia świadczącego o kolizji. Odruchowo spojrzął w lusterko-czując bezsensowność tego gestu, ciemność momentalnie zamknęła się za nim.

Następny, ostry zakręt. Dziwny, obcy głos w samochodzie, klekot jakiegoś żelastwa. Zrozumiał, że samochód nie reaguje na ruchy kierownicą. Chwila porażającej bezsilności. Jeszcze nacisnął pedał hamulca, zapiszczały na asfalcie zablokowane koła. samochód w poślizgu zmieniał ustawienie, ale nie zmieniał kierunku. Przed nim raptownie pojawiło się drzewo. Jeszcze pięć, cztery, dwa metry. Zamknął oczy i już nic zdążył ich otworzyć. Piekielny łoskot giętych blach i tłuczonego szkła, nagle, oślepiające światło, ból. Po tem ciemność, w którą spadał długo, bezwładnie.

Zabieg operacyjny przeciągał się. zakończono go dopiero wczesnym rankiem. Chory pozostawał nieprzytomny. Odwieziono go na salę, cały czas dyżurowała przy nim pielęgniarka. Majaczył; wzywał jakąś kobietę, -wymieniał jakieś imiona, wydawał polecenia. Pielęgniarka wiedziała, że stan chorego jest bardzo ciężki, nie pozwalała więc sobie ani na chwilę drzemki.

W dyżurce na dole zadzwonił telefon. Zaspany portier podniósł słuchawkę.

— Chciałem się dowiedzieć, czy dziś w nocy przyjęliście do szpitala chorego — usłyszał męski głos.

— Co to za chory?

— Z wypadku. Podobno przywieziono go do was karetką pogotowia.

— Kogoś przywieźli — mruknął portier.

— Ale ja tam nie wiem... Połączę pana z oddziałem.

Aparat telefoniczny zainstalowany był na korytarzu tuż przy sali, w której leżał nieprzytomny pacjent. Telefon długo dzwonił, nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie dyżurująca pielęgniarka zdenerwowała się. Wybiegła na korytarz.

— Słucham! — rzuciła ostro.

— Chciałem się dowiedzieć, czy przyjęto dziś na wasz oddział chorego o nazwisku Romanowski — powiedział mężczyzna. — Po wypadku samochodowym.

— Tak, przyjęto.

— A jaki jest jego stan?

— Kim pan właściwie jest? Zapomniał się pan przedstawić.

— Nazwisko nieważne, nic pani nie powie. Jestem jego przyjacielem i chciałem się dowiedzieć...

— Ja nie udzielam takich informacji przez telefon. Proszę się zgłosić osobiście.

— Nie może mi pani powiedzieć, jaki jest jego stan? Chociaż tyle, czy przytomny, czy jego życiu nie... no, nie grozi niebezpieczeństwo?

— Nie mogę — powiedziała pielęgniarka i odłożyła słuchawkę.

Już wtedy dziwiła się swojej reakcji. Była zdenerwowana od kilku dni, ale przecież nie na Wszystko reagowała w ten sposób. Nie wiedziała, jak to określić i z czego mogło się to wywodzić, ale od pierwszych słów rozmowy poczuła do tego człowieka instynktowną niechęć. I niechęć ta pogłębiała się z każdą chwilą.

Przecież nie znam faceta — myślała. — Pewnie go nigdy nie widziałam i nie zobaczę.

Dopiero kiedy usiadła przy chorym, coś przyszło jej do głowy.

Ten człowiek się boi — pomyślała. — I to boi się w taki wstrętny, zwierzęcy sposób. Bo to na pewno nie był strach o życie i zdrowie przyjaciela. To był strach tylko i wyłącznie o samego siebie.

I chociaż nigdy nie obawiała się skarg, których kilka wpłynęło do dyrekcji szpitala, ponieważ niezależnie od tego, że była wyjątkowo dobrym pracownikiem, demonstrowała czasami wielką opryskliwość — pomyślała z satysfakcją, że tym razem żadna skarga na nią nie wpłynie.

Samochód był całkiem rozbity, ale kapitan zdecydował, że jego szczątki należy poddać dokładnym oględzinom. Kiedy dokonywano tych oględzin. Jastrzębski pojechał do szpitala.

— Prawdę mówiąc trudno liczyć, że z tego wyjdzie — powiedział mu ordynator oddziału. — Oczywiście w medycynie zdarzają się cuda, ale tym razem...

— Czy coś mówił będąc nieprzytomny ?

— Tak. ale nie sądziliśmy, że te słowa mogą być ważne. Nie zwracaliśmy na nic uwagi, O tym nocnym telefonie pielęgniarka już panu chyba wspominała. Cóż poza tym? Oczywiście będziemy robić wszystko, co w naszej mocy...

— Tuk, oczywiście. Ale proszę bez mojej zgody nikomu nie udzielać żadnych informacji na temat pacjenta — zastrzegł się kapitan. - Nawet jeżeliby, odpukać, zmarł — proszę i to zachować w tajemnicy.

Kiedy wschodził, przed szpitalem czekał już na niego samochód z komendy.

— Miał pan rację, kapitanie — powiedział młody podporucznik w tak eleganckim mundurze, jakby się wybierał na jakąś paradę. - - Samochód nie był w porządku. Mimo że jest tak pogruchotany, udało się ustalić niesprawny układ kierowniczy. A konkretnie — wyraźnie nadpiłowany drążek. Wystarczył gwałtowny ruch, żeby się rozpadł.

— Tak też przypuszczałem — pokiwał głową Jastrzębski. — Początkowo myślałem, że to Romanowski maczał palce w sprawie zabójstwa Kubiaka. Teraz zaczyna być jasno, że ktoś postanowił kolejno wykończyć obydwu współlników. Tylko jaką z tego osiągnął korzyść lub co potem spodziewał się osiągnąć?

Alina Romanowska szykowała się do wyjazdu. Chciała być przy mężu w tych najtrudniejszych dla niego chwilach. Kapitan zadawał pytania w czasie, kiedy kończyła pakować tubę podróżną.

— Jak to było dotychczas z finansami pani mężu? Wiedziała pani. ile zarabia i na co przeznaczają pieniądze?

— Szczerze mówiąc, mąż nie wtajemniczał mnie w swoje finansowe sprawy. Zarabiał dobrze i całą pensję oddawał mnie. Wiem, że miał poza tym jakieś inne dochody, ale nic znam szczegółów. Powiedział, żebym się tym nie interesowała, bo to może zachwiać równowagę, która panuje w stosunkach między nami. Tak się właśnie wyraził: zachwiać równowagę. Ja też pracuję i zarabiam, poza tym mąż dawał mi jeszcze oprócz pensji pewne kwoty.

— Czy państwo mieliście samochód?

— Tak. mieliśmy do niedawna volkswagena. ule mąż go sprzedał. W dniu, w którym... No. kiedy przepadł z domu, powiedział, że kupił od kogoś nowy samochód, ale nie zdążyliśmy już dokładnie porozmawiać. Och, przypomniałam sobie: mówił o fiacie. Ale nawet nic wiem, jaki to był model fiata. Przepraszam bardzo, już muszę iść. Pociąg odjeżdża za pół godziny...

— Oczywiście, oczywiście — kapitan Jastrzębski pośpiesznie podniósł się z fotela.

Kiedy wrócił do komendy, czekała na niego wiadomość, że Kazimierz Romanowski zmarł w szpitalu nie odzyskawszy przytomności.

Porucznik Wasilewski siedział za biurkiem Romanowskiego. Pod szkłem leżało zdjęcie żony, pocztówki z Włoch i Francji, mały kalendarz. Z drugiej strony fotografia młodej Japonki, która — jeżeli patrzyło się na nią z góry, była ubrana w kimono, natomiast kiedy spojrzano się z boku — okrywały ją szaty więcej niż

skąpe. Jednak porucznik nie patrzył na Japonkę, tylko na róg jakiejś książeczki, która wystawała zza tego fotosu.

Odchylił szkło i wyjął program wyścigów konnych.

— Czy inżynier Romanowski gra na wyścigach? — zapytał jego współpracowników.

— Niewiele o nim wiemy — odpowiedział jeden z mężczyzn. — Tę, Człowiek, który nie lubi mówić o sobie. Owszem, mamy tu w biurze wspólne kupony toto-lotka, ale żeby wyścigi... Oczywiście nie można wykluczyć, bo kolega Romanowski jest bardzo małomówny, żeby nie rzec: tajemniczy...

Po półgodzinie porucznik wysiadł na Służewcu. Właśnie trwały gonitwy. W przerwach między wyścigami pokazywał fotografię Romanowskiego kasjerkom, porządkowym, ludziom, którzy sprawiali wrażenie bywalców. Kilka osób rozpoznało Romanowskiego.

— Tak — powtarzali. — Bywa tu. Wysoki, przygarbiony. Nazywają go pan Roman.

— Gra?

— Pewnie. A po co by tu przyjeżdżał, jeżeli nie po to, żeby stawiać na koniki? Przecież u nas się w nic innego nie gra.

— A ostro grywał? — wypytywał porucznik.

— Żeby za ostro, tego nie można powiedzieć. Ale robił szum wokół swojej gry—Szczególnie, kiedy przegrywał. Wtedy wykrzykiwał, że jest bliski ruiny, że przegrał nie wiadomo ile. Ale kto zna te stosunki i potrafi patrzeć, ten zawsze łatwo zauważył, że pan Roman nie dał się zjeść w kaszy. Grał ostrożnie i nikt jeszcze nie widział, żeby naprawdę przegrał większe pieniądze. Tylko że jego rozpacz po każdej przegranej wyglądała zupełnie szczerze. Więc może to, co dla innych bywalców nie było warte słowa, dla niego mogło znaczyć wiele?

— Tak pan myśli? — mruknął porucznik uśmiechając się lekko. — I tak bywa.

— Panie kapitanie — relacjonował potem Jastrzębskiemu. — Mogę się mylić, ale jeżeli nawet, to niewiele. Romanowskiemu zdaje się zależało na tym, żeby sprawiać na wyścigach wrażenie pechowego gracza. Ale z tego, co się dziś dowiedziałem, ta rzecz mu chyba nie wyszła. Ludzie zaraz mi powiedzieli, że to nie był facet, który wydałby na konie fortunę. A widzieli tam oni niejedno. Najprostsze i jedyne chyba wytłumaczenie; robił jakąś mistyfikację, chciał w razie czego mieć te wyścigi na rozliczenie się ze swoich dochodów.

Wywiadowcy Błażejczykowi polecono dyskretnie obserwować willę Romanowskiego. Tym razem dom był rzeczywiście pusty. Po śmierci męża Romanowska wyjechała do Radomia. Polecając wystawić len posterunek kapitan Jastrzębski nie bardzo wiedział, po co to robi, ale był przekonany, że tak właśnie powinien postąpić.

Sporo zagadkowych spraw działo się wokół tego domu. No i przecież ta przygotowana przez kogoś śmierć właściciela... Ustalono, że wtedy, kiedy Romanowska siedziała przerażona w domu — awaria sieci

elektrycznej nie powstała wskutek przypadku. Ktoś po prostu przeciął przewody. Kto zadał sobie taki trud i w jakim celu?

Błażejczyk nie otrzymał żadnych szczegółowych poleceń: miał nie opuszczać posterunku, mieć oczy i uszy otwarte, o wszystkim istotnym meldować za pomocą prze nośnej radiostacji, którą otrzymał w związku w tym zadaniem. Młody wywiadowca; wyraźnie czekał na jakieś dokładniejsze instrukcje, ale nie usłyszał nic więcej.

Zmrok już zapadł, uliczki w pobliżu willi Romanowskich były ciemne. Latarnia u-stawiona na odległym skrzyżowaniu dawała nikły poblask, ledwie widoczny nad żywopłotami, którymi obsadzono ogrody. Niżej panował mrok tym głębszy, że potęgowała go właśnie ta poświata rozpostarta dwa metry nad ziemią.

Z ogrodu Romanowskich przez płot. wydostawały się splątane gałęzie dzikiego wina, które tworzyły od strony ulicy rodzaj okapu. Ogrodzenie sąsiedniej posesji było cofnięte o ponad metr od ulicy. Ten właśnie kąt upatrzył sobie Błażejczyk jako miejsce posterunku. leżało tu kilka jakby specjalnie dla niego przygotowanych płyt chodnikowych, spiętrzonych jedna na drugiej. Usiadł wygodnie i wsadzając ręce w otwory siatki, rozsunął gałęzie żywopłotu. Przez powstałą w ten sposób dziurę widział ciemną bryłę domu.

Mijały godziny, gdzieś bardzo daleko zegar wybił północ. W pobliżu willi nic się nie działo. Ktoś na sąsiedniej ulicy parkował samochód, po przeciwnej stronie szybko przeszła kobieta: w panującej ciszy stukot jej obcasów z pewnością słychać było kilka ulic dalej.

Spokojny zakątek — pomyślał wywiadowca przypominając sobie swój pokoik, którego okno wychodziło na ulicę pełną jęczących tramwajów i autobusów, zatrzymujących się na przystanku właśnie naprzeciwko jego mieszkania. — Tuk, to wymarzone miejsce na odpoczynek.

Nagle gwałtownie zaszeleścił żywopłot przy furtce i coś ciężko upadło na płyty chodnika. Błażejczyk odruchowo skoczył w tamtym kierunku. Nie odrywał się jednak od płotu. ciągle pozostawał pod przykryciem okapu z gałęzi. Nie zdążył dobiec do furtki. Pomyślał jeszcze, że powinien trochę odczekać. a nie reagować tak impulsywnie. Z tyłu usłyszał kroki, odruchowo sięgnął po pistolet, zatrzymał się i wolno zaczął się odwracać— za późno... Kątem oka dostrzegł niewyraźną męską sylwetkę, w następnym momencie ogłuszyło go mocne uderzenie w tył głowy i zanim jeszcze dotknął ziemi — stracił przytomność.

Ciągle nieprzytomnego wywiadowcę odnaleziono dopiero po dwóch godzinach. Ktoś wciągnął go w ten kąt, który Błażejczyk obrał sobie za kryjówkę. Ponieważ nie odpowiadał na wielokrotne wezwania radiostacji, wysłano radiowóz.

Do willi dokonano włamania, zamek w furtce nie stanowił żadnej przeszkody, otwarto go jakimś wytrychem. Drzwi domu wyłamano, tu znaczy podważono je łomem tak, że uszkodzono futrynę i zniszczono obydwie zamki. Willa została splądrowana. Na podłodze wałały się ubrania, powyrzucane z szaf książki, listy, jakieś drobiazgi i bibeloty. Wewnątrz domu wyważono jeszcze jedne drzwi, zrobione z grubych dębowych desek i opatrzone aż dwoma zamkami. Oba były uprzednio zamknięte. Pokój sprawiał wrażenie pracowni. Biurko, deska do projektowania, zwoje rysunków, szafy. Pod papierami na kanapie pusta, żelazna kasetka z wyważonym wiekiem. Poza bałaganem sprawca lub sprawcy nie pozostawili żadnych śladów.

Kiedy Błażejczyk odzyskał przytomność, zaczęto go wypytywać o napastnika. Wywiadowca bezradnie rozłożył ręce.

— Właściwie to go nie widziałem — powiedział. — Zaszedł mnie od tyłu. nie zdążyłem się odwrócić. Cóż mogę powiedzieć? Mężczyzna. Mniej więcej mojego wzrostu. Kątem oka dostrzegłem ciemne okrycie, chyba kurtkę... Zdaje się, że miał czapkę.

Kapitan wysłał funkcjonariusza na pocztę, w rejonie której znajdował się dom Romanowskich. Mili-cjant nie wrócił z pustymi rękami: przyniósł tekst telegramu, który Romanowski odebrał wieczorem w przeddzień wypadku. Tekst brzmiał następująco: *P r o s z ę n a t y c h m i a s t p r z y j e c h a ć d o M u - s z y n y . S p r a w a p o w a ż n a . S z c z e g ó ł y n a m i e j s c u .* Telegram nie był podpisany.

— Mogę cię tylko pobłogosławić na drogę — powiedział kapitan wybierającemu się w podróż porucz-nikowi. — Tyle wiem. co i ty. Ale Muszyna nie jest wielką miejscowością. Na początek powinna ci wystarczyć fotografia Romanowskiego. To musiała być jakaś wyjątkowo ważna wiadomość, jeżeli nawet nie za-wiadomił żony o planowanym wyjeździe.

— Albo też nie chciał jej o nim mówić.

— Też prawdopodobne. Może po prostu nie chciał się tłumaczyć...

Już pierwszo napotkane osoby rozpoznały fotografię Romanowskiego.

— Przyjeżdża tu taki. Kręci się koło budowy pensjonatu.

Porucznik zaraz poszedł na budowę. Zastał tam trzech pracujących robotników, którzy również rozpo-znali Romanowskiego, ale nie wiedzieli na jego temat niczego konkretnego, był tu, ostatni raz ze trzy dni temu. Okazało się, że inwestorem willi jest niejaki Ignacy Skoczylas, zamieszkały w Krynicy.

— To chyba taki starszy facet — odezwał się jeden z robotników. — Ale on tu wcale nie zachodzi, cho-ciaż z Krynicy to przecież parę kroków...

— A wy jesteście z prywatnej firmy budowlanej, tak? Gdzie można zastać waszego szefa ?

— Powinien być przed wieczorem. Tak mówił wczoraj.

Porucznik spojrział na zegarek: zbliżało się południe. Po kwadransie pukał już do drewnianego domu, w którym mieszkał Ignacy Skoczylas.

W pokoju zastawionym starymi meblami zastał staruszka, który bez przerwy nucił coś pod nosem. Było to dosyć znane, przedwojenne tango.

— Czy pan Skoczylas?

— Pewnie, że Skoczylas, synku — powiedział staruszek wesoło. — Kto ma być w mieszkaniu Skoczy-lasa, jak nie Skoczylas?

Porucznik długą chwilę nic nie mówił, rozglądał się tylko po pokoju, Skoczylas nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Powolnymi ruchami rąk manipulował przy starym gramofonie z duża lubą. potem znie-chęcił się i zaczął przewracać poźółkłe papiery, których całe stosy leżały na wszystkich sprzętach, a nawet na podłodze. Listy, afisze, fotografie, wycinki z gazet. Coś tu było nie w porządku. To miałby być właściciel okazałego domu. który właśnie wykańczano w Muszynie? Po co staruszkowi taki olbrzymi dom? Poza tym ten pokój w żadnym wypadku nie sprawiał wrażenia mieszkania zamożnego człowieka.

— Podobno buduje pan dom w Muszynie? — zapytał wreszcie porucznik.

— Dom? — zastanowił się chwilę Skoczylas. -- Ach, tak — zanucił. — Budujemy domek, budujemy domek... Widzi pan — podsunął porucznikowi pod nos sporą fotografię. — To była aktorka! Proszę, jest i dedykacja...

— Proszę pana, wspomniałem panu, że jestem *e* milicji. Chcę z panem porozmawiać. To ważna sprawa. Czy zna pan Kazimierza Romanowskiego?

— Jak? — staruszek przydreptał do porucznika.

— Romanowskiego.

— Czekaj, synku. Acha. czy to nie będzie taki jegomość podobny do Eugeniusza Bodo?

— Nie wiem, nie znam Eugeniusza Bodo. Ale proszę, to jest fotografia Romanowskiego.

— Tak. to on — powiedział Skoczylas powoli.

— Skąd go pan zna?

— Przychodzi lu czasami. Młody człowiek, ale można z nim porozmawiać. Przyjdzie, usiądziemy, pogawędzimy, wypijemy herbatę. I polem idzie.

— A co on ma wspólnego z pańskim domem ?

— Z jakim domem? - zaniepokoił się staruszek.

— Święci pańscy, z tym domem, który się buduje w Muszynie!

— Nie wiem, może pomaga panu Skoczkowi w budowie?

— A kto to jest pan Skoczek? — porucznik tracił już cierpliwość.

— Nie zna go pan? To figura! On zajmuje się tym domem.

— To znaczy buduje go. tak?

— Buduje, buduje... Chłopcze, ja mam naprawdę ważniejsze sprawy. Widzisz, co się tu dzieje? — zatoczył dokoła rękami. — Jak chcesz rozmawiać o takich drobiazgach, to idź do pana Skoczka. On też lubi rozmawiać o różnych głupstwach. Ja muszę zaprowadzić wreszcie porządek w tych papierach. Wszystko mi się wymyka z rąk. zakrada się bałagan... Nie ukrywam, że nie mam już tyle sił. co kiedyś, więc na wszystko potrzeba mi więcej czasu.

— Tylko jedno pytanie: czy nie wysyłał pan ostatnio telegramu do Romanowskiego?

— A w jakiz to sposób? — zirytował się staruszek, aż ręce zaczęły mu się trząść. — Przecież ja nawet nie wiem, gdzie mieszka ten pański Romanowski, czy jak tam on się nazywa. Na jaki adres miałbym wysłać ten telegram? I co pisać? Że tęsknię za nim. żeby przyjechał, porozmawiał ze mną chwilę i wypił herbatę? Tak to sobie pan wyobraża?

Janusz Skoczek, którego robotnicy nazywali panem inżynierem, a który oficjalnie nie chlubił się nawet tytułem technika — pojawił się rzeczywiście przed wieczorem na budowie. Porucznik już tum na niego czekał.

— Co pana łączy bądź łączyło z Romanowskim? — zapytał bez wstępów.

— Mnie? — zdziwił się tamten. — Nic. Nawet nie jestem pewien, czy chodzi nam o tego samego człowieka. Bo to jest. zdaje się, ten inżynier, który czasami kręci się przy budowie.

— Dziwne. Właściwie nie zna go pan, a wysłała mu telegramy...

— Nic podobnego — powiedział Skoczek spokojnie. — Nie wiem. o co tu chodzi, ale w nic się nie dam wrobić. Na budowie wszystko legalnie, żadnych lewych materiałów... Zdaje się, że marnuje pan tylko czas.

— Jakoś się rozliczę przed zwierzchnikami ze swojego czasu. Pomówmy o czym innym. Ten staruszek, dla którego buduje pan dom... Co tu się w ogóle dzieje, może pan wyjaśnić? Przecież ten człowiek nie bardzo już rozumie, co się wokół niego dzieje. I raptem buduje taki dom? Jak pan się z nim w ogóle porozumiewa? Skąd len Skoczylas ma pieniądze?

— No. proszę pana — Skoczek aż poczerwieniał ze złości. — Już za wiele pan ode mnie wymaga. Jak pan to sobie wyobraża? Ja mam sprawdzać, skąd klient bierze pieniądze? Pan mnie chyba pomylił z Urzędem Finansowym.

— To może z innej strony... Pan mieszka trzysta kilometrów stąd. Dlaczego akurat pan buduje tutaj dom? Znał pan przedtem Skoczylasa?

— Jak się dobrze pracuje, to zawsze znajdzie się zamówienia — powiedział Skoczek, ale widać było, że pierwszy raz podczas tej rozmowy poczuł się niepewnie.

— Więc jak? — przyciskał go porucznik. — Po prostu staruszek usłyszał o panu, wsiadł w pociąg i pojechał do pana trzysta kilometrów z dwiema przesiadkami.

— No, niezupełnie. Tu się buduje więcej niż u nas i zarobić można więcej. Szukałem klientów. Nie wiedziałem, że nie wolno.

W miejscowej komendzie czekało porucznika nowe polecenie, przekazane przez kapitana Jastrzębskiego; należy złożyć wizytę tutejszemu notariuszowi.

Cholera, że też wcześniej nie przyszedł mi do głowy pomysł z notariuszem — pomyślał sa mokry tyczenie porucznik. — Są aż dwa istotne powody, żeby się tam udać: budowa tego dziwnego domu i ów starszy pan, a starsi ludzie miewają różne interesy do notariuszy.

Notariusz okazał się tęgim, niewysokim mężczyzną o jowialnym wyglądzie. Z zawodową skrupulatnością obejrzał milicyjną legitymację, zanim powiedział coś więcej niż dzień dobry. Ale potem poczęstował niespodziewanie interesanta papierosem, a nawet kawą.

— Czy mówią panu coś nazwiska Skoczylas i Romanowski? — zapytał porucznik.

— Skoczylas... — zastanowił się krótko notariusz. — Tak. ponad rok temu nabył działkę budowlaną w Muszynie.

— No tak. ale może coś więcej....

— Nie wiem, czy nie myślę osób... Chyba jednak nie. to charakterystyczna postać. Starszy pan, mieszkający w Krynicy. Sprawia dziwaczne wrażenie... Właściwie jestem pewien. To on był u mnie kilka dni temu.

— Czego chciał?

— Okazało się, że potrzebował tylko informacji. Zamierzał sporządzić testament, ale jeszcze nie był ostatecznie zdecydowany. Pragnął się dowiedzieć, jak ma to zrobić. A chodziło mu bodaj o wydziedziczenie syna i przekazanie majątku na jakiś cel społeczny... Wspominał chyba .o stworzeniu jakiegoś muzeum...

— Sporządził ten testament? — porucznik Z trudem krył podniecenie.

— Właśnie nie. Stracił zapał. Przyszedł niby zdecydowany, a w trakcie rozmowy jakby zaczął myśleć o czym innym. Cóż, udzieliłem mu porady, on powiedział, że się jeszcze zastanowi. I to wszystko.

— A czy nikt nie interesował się tą wizytą? — zapytał porucznik już stojąc w drzwiach.

— Właśnie, nie wiem. może to ważne... Następnego dnia miałem dziwny telefon. Dzwonił mężczyzna. Nie przedstawił się, zapytał mnie, czego tu chciał stary Skoczylas.

— Tak się wyraził?

— Cytuję dosłownie.

— Co mu pan powiedział?

— Oczywiście nic. W końcu jestem notariuszem, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

— I to był koniec rozmowy?

— Nie. Tamten powiedział jeszcze, że Skoczylas jest człowiekiem niepoczytalnym z powodu zaawansowanej sklerozy, a więc w ogóle nie powinno się z nim rozmawiać na poważne tematy.

Przy kasach PKO w warszawskiej Rotundzie, jak zazwyczaj w godzinach przedpołudniowych, nie było tłoku. Strażnik obojętnym wzrokiem odprowadził do jednego z okienek czterdziestokilkuletniego mężczyznę, ubranego w popelinową kurtkę. Przy okienku, do którego tamten podszedł, stał tylko jeden interesant. Kiedy go załatwiono, mężczyzna oznajmił kasjerce, że chciałby podjąć pieniądze z książeczek na hasło i 'podał książeczkę PKO z wsuniętą w nią karteczką, na której napisane było słowo, które — jak tajemnicze zaklęcie — powinno otwierać bankowe sejfy.

Dłuższy czas trwało sprawdzanie, urzędniczka podeszła do siedzącej w głębi kierowniczkę i chwilę szeptały z ożywieniem. Mężczyzna nerwowo bębnił palcami w blat. Kasjerka zniknęła mu z pola widzenia, a kiedy pojawiła się po kilku minutach, powiedziała :

— Niestety, proszę pana, hasło się nie zgadza,.

— Do diabła! — mężczyzna wysilił się na uśmiech. — Musiały mi się pomylić kartki, a pamięć wcale się nie poprawia z upływem lat. Cóż, w takim razie rezygnuję. Podejmę pieniądze z drugiej — to mówiąc

podał następną książeczkę. Coraz bardziej zdenerwowany, dyskretnie rozejrzał się wokół. Nie spostrzegł niczego, co by go zaniepokoiło, czekał więc dalej. Ale sytuacja powtórzyła się z najdrobniejszymi szczegółami. Może tylko urzędniczki rozmawiały ze sobą nieco dłużej.

— Przykro mi, że i tym razem nic z tego — usłyszał. — Hasło znów jest inne.

— No, trudno — bąknął mężczyzna; teraz widać już było, że się bardzo śpieszy. — Będę musiał wysilić pamięć i uporządkować to wszystko — powiedział odchodząc od okienka. — I przepraszam za fatygę.

— Nie szkodzi — uśmiechnęła się kasjerka, wciąż jednak patrzyła za nim. Już był przy drzwiach... Ale zanim wyszedł, zastąpił mu drogę młody mężczyzna, który poprzednio siedział zagłębiony w lekturze ilustrowanego tygodnika.

— Chwileczkę — powiedział cicho, lecz wyraźnie. — Chciałem zamienić z panem parę słów.

Sięgnął do kieszeni, jednocześnie coś mówiąc, kiedy raptem niefortunny posiadacz książeczek na hasło odepchnął go. Wskoczył w obrotowe drzwi, które — wybiegając — silnym uderzeniem wprawił w gwałtowny ruch, i zaczął uciekać w kierunku baru „Zodiak”. Zanim młody mężczyzna uporał się z wirującymi jeszcze drzwiami, stracił kilkadziesiąt metrów. A tamten zniknął już w jednej z bram.

Młodzieniec zatrzymał się i uważnie rozglądał się dookoła. Sprawdził dwie czy trzy bramy, ale szybko zorientował się, że to nie ma sensu. Wszystkie były przejściowe. Z markotną miną powrócił do Rotundy, chwilę medytował nad czymś, wreszcie powoli ruszył Alejami Jerozolimskimi w kierunku ulicy Kruczej.

Obok kawiarni „Hoxana” czekał na niego uciekinier. Był nieco zasapany, wyraz twarzy miał pokorny, przepraszający!

— Szukałem pana — powiedział. — Cholera, człowiek na starość staje się histerykiem. Myślałem, że pan chce na mnie napaść, a ja mam przy sobie sporo pieniędzy. Zupełnie zapomniałem, że tam są strażnicy i w ogóle... Dopiero tak biegnąc pomyślałem, że pan może jest z milicji i pewnie ma do mnie jakiś interes, Nie chciałbym się narazić na jakieś podejrzenia... A poza tym w ogóle głupia sprawa. Niby poważny ze mnie człowiek... I chyba nie pomyliłem się... pan z milicji, co?

— Nie, nie pomylił się pan, Chciał pan. zdaje się, podjąć pieniądze z książeczek na hasło, prawda? Proszę, tu jest moja legitymacja. A ja bardzo bym chciał zobaczyć te książeczki.

— Ależ służę panu! — sięgnął do kieszeni kurtki.

I zaraz potem zaczął się w popłochu uderzać po bokach, rozpiął kurtkę, wyrzucił nawet kieszenie marynarki i spodni.

— Nie ma! — wykrzyknął wreszcie. — Musiałem je zgubić w czasie tej bezsensownej ucieczki.

— Wyleciały panu z kieszeni, panie Skoczek? — ironicznie zapytał milicjant. — Trudno, pójdziemy do komendy, tam się wszystko wyjaśni.

Ale wyjaśniło się niewiele. Skoczek nie miał tych książeczek przy sobie, a wysłani w teren funkcjonariusze; bezskutecznie przetrząsnęli liczne zakamarki w domach i podwórzach na trasie ucieczki, łącznie z kosztami na śmiecie, piwnicami i strychami.

— Jak kamień w wodę... — westchnął Skoczek. — Mój Boże. taka strata! Zgubiona książeczka na hasło. I to razem z tym hasłem, to tak. jakby zgubione pieniądze. Nie wiem, czy ktoś na tym skorzysta, bo mi się pomieszały kartki z hasłami. Ale ja na pewno straciłem.

Przeszukanie radomskiego mieszkania Skoczka nie przyniosło prawie żadnych interesujących rezultatów. Znalaziono dokumentację prowadzonej firmy, nieco biżuterii. I tę jedną fotografię. Siarą fotografię, na której można było z łatwością rozpoznać Ignacego Skoczylasa, jeszcze jako krzepkiego mężczyznę, oraz — z pewną trudnością — Janusza Skoczka, chłopca w koszuli z rozpiętym kołnierzem i w krótkiej wiatrówce. Na odwrocie fotografii była data: sierpień 1943.

— Tak... Więc oczywiście podtrzymuje pan wersję, jakoby Ignacego Skoczylasa spotkał pan rok temu jako przedsiębiorca budowlany? — zapytał kapitan Jastrzębski kładąc fotografię na biurku.

— Stare dzieje — powiedział Skoczek niechętnie. — Ale chyba zbyt wiele się pan po tym spodziewa. No, dobrze. To jest mój ojciec. Jak się okazało, narozrabiał w czasie wojny, coś tam kombinował z Niemcami... Po wyzwoleniu zaczął się koło niego smród, więc szybko zmienił nazwisko. Oczywiście nic mu to nic pomogło, odsiedział parę lat. A że się do niego nie przyznaję? Pan chętnie by się przyznał do takiego ojca?

— Panie Skoczek, a nie miałby pan ochoty zacząć wreszcie mówić prawdę? Bo pan dalej utrzymuje, że ojciec wynajął pana do tej pracy, czy nie tak?

— Oczywiście. Za darmo bym mu tego nie robił. Długo mnie tak zamierzacie trzymać? Mija druga doba.

— O, jeszcze zostało ładne parę godzin. Dopiero jutro rano miną dwie doby, po których albo pana zwolnimy, albo o pańskich losach będzie decydował prokurator.

— Prokurator? Ale o co mnie oskarżycie? Wtedy trzeba już mieć konkretne dowody.

— Jak mówiłem: do jutra jeszcze jest sporo czasu.

Pozostawiony w Radomiu porucznik Wasilewski wreszcie doczekał się dozorczyńni domu, w którym mieszkał Skoczek. Składała ona wizytę krewniakom w dosyć odległej wsi. wróciła dopiero wieczorem. Przed jej przyjazdem dobudzono się jednak męża, który po wypiciu sporej dawki alkoholu już ud południa spał snem sprawiedliwego. Człowiek ten w rzadkich chwilach względnej trzeźwości był uniwersalnym rzemieślnikiem, znającym się na wszystkich pracach domowych. Kiedy zorientował się, że milicja interesuje się Skoczkiem, przypomniał sobie, że żona mówiła mu coś interesującego na temat lokatora. Ale pamiętał tylko, że dotyczyło to samochodu. Wszelkie próby wyciągnięcia z niego czegoś więcej okazały się nieskuteczne.

— Głowa — powtarzał. — Jakoś dziwnie boli mnie głowa. Chyba się zdrzemnę.

Dozorczyńni rzeczywiście miała interesujące wiadomości. Rozpoznała na fotografii Romanowskiego.

— Ten gość przyjechał tu parę dni temu takim nowym fiatem 127. Akurat stałam w oknie, to widziałam dokładnie. Była może piąta po południu. Pan Skoczek też przyjechał tego samego dnia, tylko parę godzin

wcześniej. On ciągle w rozjazdach, rzadko kiedy bywa. Ale jak mu powiedzieć, żeby mieszkanie wynajął, to się denerwuje, jakby nie wiadomo co. To tamtego dnia stoję w oknie i widzę, że nagle ten facet z fotografii wybiega z bloku i gdzieś leci. Samochód stoi, ale on go nie bierze, leci pieszo. Wrócił po godzinie, ale już powoli. Spokojnie, ze spuszczoną głową. A w czasie, kiedy go nie było, z domu wyszedł Skoczek. Zaczął się rozglądać, czy go ktoś nie widzi, to dla wszystkiemu schowałam się za firankę, ale ciągle patrzę. I widzę, że on wsiada do tego samochodu... Ale nie, najpierw otworzył drzwi swojego garażu. A potem wsiadł i wjechał samochodem do garażu. Zamknął drzwi — i cisza, po półgodzinie otworzył drzwi, znowu się rozejrzał i wyjechał samochodem na podwórze. Ja tam nie wiem, ale jak nie ma deszczu ani nic, to po co wprowadzać na pół godziny do własnego garażu cudzy samochód? I to w czasie, kiedy nie ma właściciela. Dlatego opowiedziałam wszystko mojemu staremu, żeby dowiedzieć się, co on o tym myśli. Akurat był trzeźwiejszy...

A w tym samym czasie w Warszawie sprawdzano kontakty Skoczka. Przygodne znajome, drobni kombinatory. Wydawało się, że w stolicy Skoczek nie miał rozległych znajomości. A inne adresy... Niemal cała Polska, na to trzeba wiele czasu.

Zastanawiający był numer telefonu zanotowany na okładce kalendarza. Wszystkie inne adresy i telefony porządnie wpisano pod stosownymi literami alfabetu. Tutaj: telefon na okładce i więcej nic. Sześć cyferek. Wielokrotnie wykręcano ten numer, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie kapitan polecił odszukać abonenta. Po godzinie znano już nazwisko właścicielki mieszkania i adres. Kapitan pojechał tam osobiście.

Wielokrotnie dzwonił i pukał — bez skutku. Zszedł więc do dozorca. Od niego dowiedział się, że lokatorka, o którą chodziło, przebywa za granicą, gdzie już nawet — podobno — wyszła za mąż i nie wiadomo, kiedy wróci. Mieszkanie wynajęła pewnemu panu, który... No, dosyć rzadko tu bywa. Kiedy Jastrzębski pokazał swemu rozmówcy fotografię Skoczka, dozorca pokiwał głową:

— Tak, tak, to on. Grzeczny facet, nie mogę powiedzieć. Jak wieczorem przyjdzie i bramę trzeba otworzyć, nie da mniej niż dychę. A czasem...

Wychodząc kapitan zatrzymał się przy skrzynce na listy. Przez dziurki dostrzegł tam szarą kopertę. Miał w kieszeni dwa nie zidentyfikowane klucze z depozytu Skoczka. Jeden z nich. malutki — pasował do zamka skrzynki. Prokurator wydał postanowienie o zajęciu korespondencji Janusza Skoczka, więc kapitan bez wahania otworzył wypchaną kopertę. Były w niej „zgubione” w czasie ucieczki Skoczka książeczki oszczędnościowe. Kapitan zatelefonował do przyjaciela, milicyjnego eksperta do spraw identyfikacji pisma. Materiał podał mu niewielki, Kilka listów Skoczka, jakąś korespondencję Skoczylasa oraz listy pisane przez Romanowskiego. "Wymógł na przyjacielu, że do godziny dziewiątej następnego ranka tamten sporządzi przynajmniej wstępną ekspertyzę pisma, mając jako materiał porównawczy kartki z wypisanymi hasłami, które wsunęto w książeczki „zgubione” przez Skoczka. W ten sposób okaże się, kto był założycielem tych książeczek.

A sam Jastrzębski zajął się mieszkaniem wynajętym przez Janusza Skoczka. Do drzwi lokalu pasował drugi z nie zidentyfikowanych dotychczas kluczy. Kapitan wszedł do sporego, tradycyjnie umeblowanego pokoju. Obok mieściła się mała kuchenka bez okna. W zwyczajnej tekturowej teczce, leżącej na półce pod telewizorem. Jastrzębski znalazł cztery weksle wystawione przez Ignacego Skoczylasa — na okaziciela oraz jeden weksel, opiewający na sześćset tysięcy złotych, wystawiony przez Janusza Skoczka na rzecz Kazimierza Romanowskiego. W szafie natomiast, w drewnianym góralskim pudełeczku spoczywała biżuteria. Nie było jej mało. a co najistotniejsze charakterystyczna broszka z siedmioma brylantami (jeden większy oto-

czony mniejszymi) dokładnie odpowiadała opisowi pamiątkowej, rodzinnej broszy, która w dniu włamania zginęła z willi Romanowskich. Towarzyszący kapitanowi dozorca aż dostał wypieków na widok takiej drogocennej biżuterii.

— O, do diabła! — powtarzał. — A ja się dziwiłem, skąd go stać na wynajęcie mieszkania za parę tysięcy miesięcznie. Bo on wygląda, nie przymierzając, jak...

Kapitan przystąpił do sporządzania protokołu przeszukania. Trwało to długo, trzeba było wszystko szczegółowo opisać, scharakteryzować również bardzo dokładnie każdą sztukę biżuterii. Dozorca jednak jakby nie dostrzegał, że minęła dziesiąta, a potem jedenasta wieczorem. Jak zahipnotyzowany przyglądał się kolejno wyjmowanym z pudełka pierścionkom, naszyjnikom, bransoletom. Mieszkanie opuścili około północy.

Następnego dnia rano okazano Romanowskiej zatrzymaną biżuterię. Natychmiast rozpoznała wśród niej wiele sztuk stanowiących własność jej i nieżyjącego męża. O wekslach nic nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy, że mąż je posiadał. Najwyraźniej nie miała w ogóle wstępu do jego pokoju, którego masywne, dębowe drzwi opatrzone dwoma skomplikowanymi zamkami.

Kiedy kapitan kończył sporządzanie protokołu, zadzwonił ekspert pisma. Telefonicznie uprzedzał, że nie zdąży ze sporządzeniem oficjalnej ekspertyzy przed godziną jedenastą. Wszystko wskazywało jednak na to, że wynik tej ekspertyzy nie będzie konieczny do podjęcia decyzji w sprawie aresztowania Skoczka: zebrano i tak wystarczająco dużo dowodów świadczących o jego winie.

Podczas przesłuchania przed prokuratorem Skoczek wreszcie zaczął mówić...

Romanowskiego poznał na wyścigach. Zorientował się, że inżynier ma zamiar ulokować pieniądze w jakimś interesie, on natomiast planował aż dwa takie interesy, z czego jeden - pieczarkarnię pod Radomiem — już zaczął realizować. Brakowało mu pieniędzy: Romanowski spadł mu jak z nieba.

Posługując się Skoczylasem jako „firmą”, dokończyli budować pieczarkarnię i zaczęli stawiać pensjonat w Muszynie. Skoczek — mimo że prowadził niezłe prosperujące przedsiębiorstwo budowlane — nie potrafił jakoś zatrzymać pieniędzy przy sobie. Łatwo przeciekały mu przez palce. Romanowski szybko się w tym zorientował i postanowił się usamodzielnąć. Już przedtem wziął od współnika weksle, teraz zażądał ich na pokrycie przynajmniej połowy wspólnych interesów.

Otrzymał te weksle. Część podpisał Skoczek, część jego ojciec. I tak Romanowski położył już rękę na wspólnych sprawach. Wówczas Skoczek postanowił zainteresować się tym, dlaczego też inżynier wynalazca, zarabiający sporo pieniędzy na swoim patencie, tak boi się ujawnienia, w co te pieniądze inwestuje. Okazało się, że Romanowski ma także inne źródło dochodów, nie mające nic wspólnego z jego wynalazkiem. Skoczek ustalił, że chodzi o jakiś przemyt, ale nie znalazł szczegółów całej afery. To jednak, czego już się dowiedział, wystarczyło, żeby w razie potrzeby pokazać i swoją siłę.

Kiedy w tajemniczych okolicznościach zginął Kubiak, współnik Romanowskiego od wynalazku, Janusz Skoczek zrozumiał, że otwiera się przed nim szansa zawładnięcia całym majątkiem Romanowskiego. Wystarczyłoby, żeby inżynier zakończył życie, a weksle wróciłyby do Skoczka. Prędzej czy później stałby się przecież spadkobiercą ojca, który i tak interesował się już wyłącznie gwiazdorami okresu międzywojennego, a więc nie wtrącałby się do wydarzeń dziejących się aktualnie.

Tu się jednak przeliczył, bo stary Skoczylas wpadł raptem na pomysł przeznaczenia formalnie przekazanych mu pieniędzy na utworzenie wymarzonego muzeum. To spowodowało telegraficzne wezwanie Romanowskiego do Krynicy. Wspólnie wybili starszemu panu z głowy lekkomyślne decyzje, po czym wrócili do Radomia. W Radomiu Skoczek wysłał Romanowskiego z jakąś tajemniczą misją z miasta, sam natomiast zajął się jego samochodem. Kiedy dowiedział się o wypadku Romanowskiego, telefonował do szpitala. Potem pojechał do Warszawy. Już tego dnia chciał włamać się do willi Romanowskiego, telefonami i wyłączeniem światła próbował wypłoszyć jego żonę.

Przyznaje, że Romanowski mógł zginąć z jego ręki. Ale len drugi? Przecież go wcale nie znał. Dowiedział się, że inżynier Kubiak zginął i pomyślał, że przy okazji... Takie sprawy mogą się ze sobą łączyć.

Tyle dało przesłuchanie aresztowanego. Nie ustalono niczego więcej. Żadnych powiązań między Skoczkiem u Kubiakiem. Wszystko wskazywało na to, że Skoczek tym razem mówi prawdę.

— Więc tak — donosił prokuratorowi Jastrzębski. — Mamy gotową sprawę Skoczka. Ale nie posunęliśmy się ani o krok w wyjaśnieniu tajemniczej śmierci Kubiaka. Powiem więcej. Cofnęliśmy się i to dosyć znacznie. Bo od tamtych dni minęło sporo czasu, a przecież każda upływająca godzina stwarza nowe trudności.

— Nie ma więc innego wyjścia, tylko wracać w Bieszczady.

— Usiłowaliśmy tam ustalić jakieś dane coś konkretnego o ludziach, którzy byli w knajpie razem z Kubiakiem i Romanowskim tamtej nocy, ale nic dowiedzieliśmy się niczego. Jacyś ludzie, którzy przyjechali na wesele, jacyś kierowcy, o których nikt nic nie wie...

— Ktoś musi przecież coś wiedzieć! Trzeba dokładniej szukać, pytać o najdrobniejsze szczegóły. I jeszcze jedno — zatrzymał wychodzącego kapitana prokurator. — Sprawdziliście alibi Kubiakowej i tego jej przyjaciela, prawda?

— Oczywiście, ale jest tak, jak przypuszczaliśmy: oni nie mogli maczać w tym palców. Kubiak rzeczywiście ich straszyl i nawet miał czym. Przypadkiem wpadł na to, że jego żona posługuje się sfałszowanym świadectwem maturalnym. Wyłączyliśmy te materiały do odrębnego prowadzenia.

Kapitan już trzeci raz przesłuchiwał kierownika bieszczadzkiej restauracji. Okazało się, że — o dziwo — z upływem czasu kierownikowi odświeża się pamięć. Najwyraźniej przedłużające się śledztwo i stałe „wizyty” kapitana i jego ludzi nie były na rękę obrotnemu restauratorowi. Przy trzecim przesłuchaniu przypomniał sobie kilka epizodów, które rozegrały się we frontowej sali, kiedy lokalu oficjalnie jeszcze nie zamknięto. Bohaterem tych zdarzeń był wysoki, nie znany w okolicy młody mężczyzna, ubrany w skórzaną marynarkę.

— Siedzieli we dwóch — opowiadał restaurator. — Ten jeden, w skórze, siedział cały czas tyłem do sali. Drugi, taki niewielki, wyglądał na szofera. Też obcy. Pili marnie, to znaczy ten maty za dwóch. A wysoki wypił ze dwa kieliszki i przestał.

— Dlaczego zwrócił pan na nich uwagę?

— Lubię wiedzieć, co się dzieje w restauracji, za wszystko odpowiadam...

— A tak naprawdę?

— Może dlatego, że ten wysoki miał jakieś zajście z tym małym inżynierem, którego potem znaleźli powieszono. To nie było nic wielkiego, ale akurat stałem blisko bufetu i poczułem, że z tego może wyjść jakaś rozróżba. A wtedy to już wie pan: szkło się tłucze, ludzie uciekają, milicja... To wołałem być bliżej, żeby w razie czego powstrzymać... Duży podszedł do zimnych zakąsek, które są u nas w ladzie chłodniczej za szybą. A ten mały inżynierek, jak przez cały zresztą wieczór, urzędował coraz przy innym stoliku. W tej właśnie chwili znalazł się przy ladzie. Potrącili się, coś do siebie ostro zagadali... Już ten duży jakby się zamachnął... Zbliżyłem się i usłyszałem, jak inżynier mówi: „To ty, poznałbym cię na końcu świata”. A ten drugi: „Pan mnie z kimś myli. Ja pana nie znam”. Podszedłem do nich i powiedziałem, żeby nie tamowali przejścia. Do żadnej awantury nic doszło, ale gdyby nie to, że podszedłem...

— Coś jeszcze pan zauważył?

— Może kwadrans później inżynier wstał i szybko pobiegł do wyjścia. Dosłownie poderwał się, jakby nie wiadomo co.

— Może do toalety? — zapytał kapitan.

— Skądże, toaleta jest po przeciwnej stronie, przy tylnej sali. Wyskoczył z restauracji na ulicę. Już chciałem odejść, ale zobaczyłem, że za inżynierem podrywa się i ten duży w skórzanej kurtce. Tylko- że to jednak minęło paręnaście sekund, a jeszcze przechodziła kelnerka z tacą pełną talerzy, on ją potrącił, spadły noże i widelce, coś podnosił z podłogi... W każdym razie kiedy miał wolną drogę i ruszył do drzwi, inżynier akurat wracał. Stuknęli się znowu w tych drzwiach, ale już nie rozmawiali. Patrzyłem na inżyniera, jak wracał do swojego stolika. Uśmiechał się lak, jakby komuś zrobił dobry kawał. Taki kawał, co to pójdzie w pięty,

— Czy właśnie wtedy ten wysoki przestał pić?

— A wie pan, że chyba tak? Nawet na pewno. Potem to już pił tylko len, eto z nim siedział przy stoliku. Zaciekawilo mnie trochę to zajście, więc tak mimochodem obserwowałem faceta w skórze. Pożegnał się ze swoim kolegą, zapłacił i wyszedł z pół godziny przed zamknięciem restauracji.

Odszukanie kolejnych kierowców zostawił Jastrzębski porucznikowi Wasilewskiemu z przydzielonej im dwuosobowej ekipie, sam zaś pojechał, żeby jeszcze raz porozmawiać z żoną Kubiaka.

— O, Boże — powiedziała kobieta na jego widok. — Myślałam, że to już koniec. Byłam przesłuchiwana w komendzie w związku z tym świadectwem, wiem, że czeka mnie odpowiedzialność karna. Napisałam nawet podanie o zwolnienie z pracy. Czego pan jeszcze chce?

— Tu nie chodzi o świadectwo. Musimy jednak wrócić do pani niezującego męża.

— Przecież ja już wszystko powiedziałam.

— Mnie się też tak wydawało. Po naszej ostatniej rozmowie też sądziłem, że już nie mam o co pani pytać. Ale teraz przyszło mi do głowy coś nowego.

— No... proszę bardzo — westchnęła z rezygnacją. — Powiem wszystko, co wiem.

— Czy pani mąż był kiedyś zamieszany w jakąś sprawę, najogólniej rzecz biorąc, sądową, milicyjną?

— To znaczy, czy był karany? O ile wiem, nie.

Jastrzębski uśmiechnął się lekko.

— Proszę pani, takie wiadomości to my mamy. Rzeczywiście nie figuruje w kartotece skazanych. Ale mnie chodzi o coś więcej. Czy nie występował w jakiejś sprawie w innym charakterze, choćby w charakterze świadka.

— Było coś takiego... — powiedziała po chwilowym zastanowieniu. — Wyjeżdżał gdzieś w ubiegłym roku i tłumaczył mi się z tych wyjazdów. Wtedy już właściwie nic mnie z nim nie łączyło, więc nie zwracałam uwagi na te tłumaczenia. Jeżeli jednak może się to okazać ważne... Postaram się sobie przypomnieć.

— Tak, to bardzo ważne. Przede wszystkim, dokąd wyjeżdżał? Do jakiego miasta?

— Nie bardzo pamiętam. Zaraz... Jakoś mi się to dziwnie kojarzy... ze zwierzęciem chyba...

— Proszę sobie przypomnieć.

— O, już chyba wiem! — wykrzyknęła. — Jest takie miasto, które się nazywa Końskie?

— Jest — powiedział Jastrzębski. — Ale pani się nie myli?

— Nie, teraz jestem zupełnie pewna. Jurek jeździł tam przynajmniej dwukrotnie. Widziałam nawet jedno wezwanie. Pokazywał mi je, żebym nie miała podejrzeń.

— Czy to było wezwanie z milicji czy z prokuratury? A może z sadu?

— O, tego to już nie pamiętam. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że chodziło właśnie o to miasto.

W drodze do Końskich kapitan zapadł się głęboko w tylne siedzenie samochodu i przymknął oczy. Poczł się bardzo zmęczony. Śledztwo przeciągało się, a on wciąż wiedział niewiele. Co prawda dostał uroczystą pochwałę za szybkie rozwiązanie sprawy Romanowskiego, ale nie sprawiło mu to wielkiej satysfakcji. Każdy lubi być chwalony, lecz Jastrzębski tym razem uważał, że szczerze mówiąc pochwały mu się nie należą. W końcu dał się wyprowadzić w pole, poszedł jednym śladem, zaniehbując pozostałe.

Zasnął i śniło mu się, że znajduje się na jakiejś ogromnej łące, spokojnie idzie rozgarniając trawy, jest radosny, nigdzie się nic spieszy. Nagle wszystko prysło, rozpadło się.

— Jesteśmy na miejscu, panie kapitanie — usłyszał.

Otworzył oczy. Samochód stał na małomiasteczkowej ulicy, kierowca flegmatycznie zapalał papierosa. Kapitan spojrział na zegarek: było po pierwszej.

— W tym budynku mieści się prokuratura — powiedział kierowca.

Jeszcze przed końcem urzędowania Jastrzębski natrafił na to, czego szukał: akta śledztwa umorzonego niedawno z powodu niewykrycia sprawcy. Udało mu się wypożyczyć te akta. Odprawił kierowcę z sa-

mochodem, wynajął pokój w hotelu i tam leżąc na łóżku zaczął dokładnie studiować to, co zdołał tylko po-
bieżnie przejrzeć w prokuraturze. Śledztwo prowadził ktoś bardzo skrupulatny, protokoły oględzin i prze-
słuchań sporządzono tak dokładnie i zarazem sugestywnie, że kapitan wyraźnie zobaczył jesienny wieczór z
końca ubiegłego roku, tak, jakby uczestniczył w tamtych wydarzeniach.

Było bardzo ciepło jak na przełom października i listopada. Radiowóz miejscowej komendy powoli
krążył po ulicach miasta. Zapadał zmierzch. Gęste powietrze jakby hamowało ludzkie ruchy, bo przechodnie
poruszali się jak na zwolnionym filmie. Zupełny spokój, cisza. Zapalają się pierwsze światła w oknach. I
nagle krzyk!

Kierowca dodaje gazu. za chwilę są na miejscu. Obydwaj milicjanci odwracają do siebie roześmiane
twarze. Trwa zaciepły spór na sąsiednich balkonach domu znajdującego się tuż przy ulicy. Kłócą się dwie
paniusie,; jedna o monstrualnych kształtach, z papilotami na głowie, druga — chuda, o rysach ostrych, zna-
mionujących upór i zaciepłość. Jak nietrudno się zorientować. przyczyną awantury jest podmiatanie sobie
nawzajem śmieci na korytarzu, o co nader głośno oskarżają się obydwie kobiety. Kierowca radiowozu po-
woli rusza.

Wyjechali za miasto, zatrzymali się na bocznej, nieuczęszczanej drodze, zgasili światła, zresztą ciągle
jeszcze było tak jasno, że właściwie nie musiało się ich w ogóle włączać. Rozmawiali oczywiście o tej dziw-
nej pogodzie, kiedy dał się słyszeć warkot samochodu, który zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od nich.

— Poczekaj — powiedział sierżant. — Obok budują nową willę, a jak jechaliśmy, robotnicy właśnie
odchodzili. Ciekawe, czy ktoś tu aby nie szuka, czego nie zgubi;?

Wysiedl z samochodu, przystanął na wysokości prowizorycznego płotu i rozglądał się ostrożnie. tak, by
nie być widocznym z ulicy. Zobaczył wiśniowego fiata 125p. Samochód nie zatrzymał się przy budowanej
willi. Stał w odległości około trzydziestu metrów od sierżanta. Pochylny kierowca majstrował przy багаż-
niku. Zamek musiał się zaciąć, bo mężczyzna otworzył go dopiero po kilku nieudanych próbach. Kiedy
podnosił klapę, jakby wyczuwając, że ktoś na niego patrzy, raptownie obejrzał się. Spozstrzegł obserwujące-
go go milicjanta i gwałtownie zatrzasnął klapę, ale zanim to zrobił — sierżant zdążył zauważyć w багаżniku
kawałek kwiecistego materiału i coś, co jakby przypominało... ludzką nogę. dokładniej — kolano. „Nie je-
stem jednak tego stuprocentowo pewny — zeznał potem. — Może się zasugerowałem, Ale to było właśnie
coś podobnego”.

Zanim sierżant zdążył cokolwiek uczynić, kierowca fiata wskoczył do samochodu i z miejsca ruszył.
Sierżant w biegu wyjął pistolet, ale nie strzelił w kierunku uciekającego. Po krótkim namyśle schował broń i
pobiegł do radiowozu.

— Szybko! — rzucił. — Widzisz ten samochód? Za nim! Nie ma prawa nam uciec.

— Nic pewnego, szefie — pokręcił głową kierowca, kiedy radiowóz ruszył, wyrzucając do tyłu kilo-
gramy żwiru. — Ma sporą przewagę i dobry samochód. No. proszę. A zapowiadała się dziś służba jak u
Pana Boga za piecem.

Po kilku kilometrach stało się jasne, że pościg raczej się nie uda: odległość między samochodami nie
zmniejszała się.

— Nie wiem, kim on jest — powiedział wreszcie kierowca radiowozu. — Łobuz czy nie. Ale prowadzi jak szatan. Beznadzieja, szefie. Jeżeli bryczka mu się nie zepsuje, to nam zwieje.

— W tej sytuacji trzeba wezwać pomoc zadecydował sierżant i włączył radiostację.

Mimo wielokrotnie ponawianych prób aparatura uparcie milczała. Była zepsuta.

Robiło się coraz ciemniej, więc kierowca radiowozu włączył światła drogowe. I w światłach tych — na dosyć ostrym zakręcie — zobaczyli dwa nieruchome ciała: kobiety i dziecka. Kierowca ledwie zdążył zahamować. Dziecko leżało na środku szosy, łatwo stwierdzili, że nie żyje. Kobieta leżąca na poboczu — odychała. Szosa była pusta, nic jechał żaden samochód.

Milicjanci odbyli krótką naradę. Ustalili, że ze względu na stan rannej nie można czekać na najbliższy samochód. Trzeba z nią wracać do szpitala. Właśnie ostrożnie podnosili nieprzytomną kobietę, kiedy z tej strony szosy, gdzie zniknął ścigany wiśniowy fiat, błysnęły światła. Czekali jeszcze minutę, potem zatrzymali nadjeżdżający samochód.

Kierowca tego wozu, niejaki Jerzy Kubiak, odwiózł ranną do najbliższego szpitala, a milicjanci mogli wobec tego kontynuować pościg. Opóźnienie okazało się jednak zbyt duże. I mimo że zarówno Kubiak, jak też funkcjonariusze z radiowozu, zatrzymując się na moment przy mijanym posterunku, wszczęli alarm, co spowodowało blokadę najważniejszych dróg — nie udało się zatrzymać kierowcy wiśniowego fiata 125p.

Kubiak miał tamtego dnia kłopoty z samochodem. Niepokoił go dziwny klekot, dobywający się z silnika, co pewien więc czas zjeżdżał na bok szosy i usiłował ustalić przyczyny tych odgłosów. Ostatni raz zatrzymał się około dziesięciu kilometrów od Końskich. Zjechał parę metrów w pole. Zapadał zmierzch, więc wysiadając z samochodu wyjął ze schowka latarkę.

Wtedy usłyszał warkot szybko nadjeżdżającego pojazdu. Błysnęły światła, przejmująco zapiszczały opony gwałtownie zablokowanych kół, samochód zatrzymał się na wprost Kubiaka. Już w tym momencie wydawało się, że takie hamowanie nie jest czymś normalnym, że musiało się coś stać: jakaś awaria albo może ktoś nieoczekiwanie wybiegł na drogę. Wrócił więc szybko na szosę i zapalił latarkę. W jej świetle zobaczył mężczyznę otwierającego klapę bagażnika wiśniowego fiata 125p.

— Co jest, do cholery! — krzyknął tamten. — Co za świece po oczach! Zgaś pan to, do diabła!

— Myślałem, że coś się stało — powiedział Kubiak.

— Nic się nie stało.

— Pan tak ostro zahamował...

— Mój samochód, pusta szosa, to mi wolno.

— Nie trzeba panu jakiejś pomocy?

— Idź pan do diabła z pańską pomocą — warknął tamten, wsiadł i odjechał.

Kubiak nie szukał już przyczyn niepokojącego stukania w silniku swojego samochodu. Zdenerwował się tym spotkaniem z opryskliwym nieznanym, postanowił dojechać do najbliższego miasta i tam zostać

na noc, a rano sprawdzić silnik w jakimś warsztacie. Zanim jednak dotarł do Końskich, jego samochód zatrzymali milicjanci — i musiał zupełnie zmienić plany.

Wszczęto śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci dziecka i ciężkiego okaleczenia jego matki. Kobieta przeżyła, ale została kaleką niesprawnie władającą nogami. Akta milicyjne wykazywały, ilu dokonano czynności śledczych, mających na celu ustalenie, kto prowadził owego wiśniowego fiata. Jednak zarówno kierowca, jak i samochód — przepadli bez śladu. Załoga radiowozu zanotowała numer rejestracyjny. Litery wskazywały na Toruń, ale pod tymi numerami zarejestrowana by-3a od kilku lat wiekowa syrenka. Jej właściciela oczywiście przesłuchano. Zrobił wielkie oczy: numer jego samochodu przy jakimś fiacie w Końskich? Musiała zająć pomyłka. Funkcjonariusze prowadzący śledztwo przypuszczali raczej, że numery rejestracyjne wozu sfałszowano. Traf chciał, że zgadzały się one z tymi, które miała dychawiczna toruńska syrenka. Poszukiwania w warsztatach napraw, w stacjach obsługi, sprawdzanie zaginionych samochodów — wszystko to nie przyniosło żadnych efektów.

Kubiak był w tej sprawie przesłuchiwany dwukrotnie. Za pierwszym razem szczegółowo opisywał le kilka chwil, kiedy miał styczność z kierowcą wiśniowego fiata. Za drugim usiłowano sporządzić tak zwany portret pamięciowy, Tu jednak Kubiak nie popisał się. Z wybieranych przez niego fragmentów twarzy wyszło coś, co nie tworzyło żadnej całości. Sam Kubiak przyznał, że takie monstrum nie może istnieć. Tym niemniej dodał, że jeżeliby zobaczył tego człowieka jeszcze raz — rozpoznałby go bez cienia wątpliwości. Widział go przez kilka sekund wyraźnie, z odległości zaledwie kilku metrów, w ostrym świetle latarki.

Akta kończyły się postanowieniem o u-morzeniu śledztwa z powodu niewykrycia sprawcy przestępstwa, jednak kilka stron przed tym dokumentem wpięty był protokół oględzin innych akt: bardzo szczegółowo sporządzony, na pięciu kartkach pokrytych gęstym pismem. Protokół dotyczył zaginięcia młodej kobiety, Anny Buczyńskiej.

W dniu trzeciego stycznia, a więc przed ponad czterema miesiącami, do jednej z łódzkich komend milicji zgłosiła się pięćdziesięciodwuletnia Zofia Buczyńska. Był wieczór, chciała rozmawiać wyłącznie z oficerem dyżurnym. Twierdziła, że ma bardzo ważną sprawę.

— Stało się coś złego, panie poruczniku — powiedziała bez wstępów. — Zaginęła moja bratanica.

— Czy zawiadomiono o tym jakąś jednostkę milicji?

— Nie, bo to nie była taka prosta sprawa, w której od razu wiadomo, co i jak. Jak na przykład, że ktoś wyszedł do pracy i nie ma go od paru dni... Ania wyjechała do krewnych do Anglii. Jest nauczycielką języka angielskiego, więc jeżeli nadarzy się taka okazja... Poza tym brat jej ojca, który zmarł w ubiegłym roku, podobno zostawił jej tam jakiś spadek. Pisała mi, że w Anglii znalazła pracę, opiekowała się bodaj dziećmi... Miała wrócić w październiku ubiegłego roku. Ania nie ma najbliższej rodziny. My, dalsi krewni, bo jestem jej ciotką, wychowaliśmy ją i spełnialiśmy — o ile to było możliwe — rolę rodziców. Mimo zapowiedzi Ania nie wróciła do Polski w październiku. W połowie listopada napisałam list do Anglii. To oczywiście długo trwa, taka korespondencja, wiem o tym. Ale tuż przed Sylwestrem odpisano mi, że Ania wyjechała z Anglii zgodnie z planem, to znaczy pod koniec października. To już budziło niepokój, więc specjalnie pojechaliśmy na stację graniczną, bo Ania miała wracać pociągiem. I tam stwierdziliśmy, że ona przekroczyła granicę Polski w dniu trzydziestego października ubiegłego roku! Co pan o tym myśli?

— Cóż mogę myśleć? Na razie wiem jeszcze mniej od pani. Ale chyba rzeczywiście są podstawy do obaw. Minęło ponad dwa miesiące od przyjazdu pani bratanicy, jeśli dotąd się nie odezwała, musiało zająć Coś nieoczekiwanego. Tylko niekoniecznie zaraz coś tragicznego.

— A co w takim razie?

— Trudno powiedzieć. Zdarzają się czasami sytuacje tak dziwaczne, że nawet kiedy już wiadomo, że są prawdziwe — niełatwo w nie uwierzyć.

Ustalono, że ostatnim człowiekiem, który widział Annę Buczyńską, był młody celnik z granicznej stacji. Mimo upływu kilku miesięcy rozpoznał ją na fotografii.

— Tak, pamiętam tę pasażerkę — powiedział po chwili zastanowienia. — Samotna, ładna dziewczyna. Szczerze mówiąc, zainteresowałem się nią, ale ona wyraźnie nie miała zamiaru zawierać żadnych znajomości. Pociąg trochę się opóźniał, pamiętam, że z niecierpliwością spoglądała na zegarek. Pewnie spodziewała się, że ktoś będzie na nią czekał na granicy. Ale chyba się zawiodła. Mogła jechać dalej tym pociągiem, wysiadła jednak na granicznej stacji, mimo że nikt jej nie oczekiwał. Przynajmniej na peronie.

Tyle przekazał śledczemu ów celnik. Wszelkie dalsze poszukiwania, prowadzone zarówno w przygranicznym miasteczku, jak i w Łodzi, która była miejscem jej stałego zamieszkania, nie przyniosły rezultatu.

Milicyjny ekspert otworzył drzwi mieszkania zaginionej dziewczyny. Była to niewielka kawalerka w dużym bloku. Panował w niej porządek, ale taki, jaki może być w pomieszczeniu, w którym od wielu miesięcy nikt nie przebywał ani nie sprzątał: meble pokrywała warstwa kurzu, spadające z częstotliwością raz na kilkanaście minut krople wody zostawiły rdzawy ślad na umywalni w łazience. Niby było tak, jak być powinno. Równo ułożona bielizna w szafie, porządnie poustawiane kosmetyki, papiery i inne drobne przedmioty w licznych szufladach, szklane naczynia starannie pochowane w kredensie. Jednak na wszelki wypadek wszystko dokładnie opisano w protokole oględzin.

W czasie drugiego przesłuchania Zofii Buczyńskiej oficerowi prowadzącemu śledztwo udało się zdobyć dwie interesujące wiadomości. Po pierwsze — Anna Buczyńska przed wyjazdem do Anglii zwierzyła się ciotce, że po powrocie do kraju chyba wyjdzie za mąż. Nic bliższego na ten temat jednak nie chciała powiedzieć, nie zdradziła nawet, kto ma być jej przyszłym mężem. Uśmiechała się tajemniczo i powtarzała, że wszystko wyjaśni się w stosownym czasie.

Po drugie — kilka miesięcy przed wyjazdem bratanica kupiła samochód. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że bodzie mogła wyjechać. Kiedy jednak taka szansa zaistniała, Anna wspomniała ciotce, że musi sprzedać samochód, bo przecież nie ma sensu, żeby stał i rdzewiał przez cały rok. Niestety Zofia Buczyńska nie wiedziała tego wozu i nie jest pewna, czy w końcu został sprzedany. Nie interesuje się motoryzacją, i markami samochodów, ale z tego, co dziewczyna mówiła, wynikało, że był to polski fiat.

Przez nasz konsul w Anglii ustalono, że Anna Buczyńska zdołała załatwić wszystkie sprawy spadkowe i do Polski wracała z około siedmioma tysiącami funtów, nie liczyć pieniędzy, które zarobiła w czasie rocznego pobytu za granicą. Za pośrednictwem Wydziału Komunikacji stwierdzono z kolei, że samochód Buczyńskiej był koloru wiśniowego i był to fiat 125. A ponieważ w śledztwie dotyczącym wypadku pod Końskimi poszukiwano takiego samochodu — skojarzono obydwie sprawy. Ale niewiele z tego wyszło. Brak było pewności, czy w obu przypadkach chodziło o ten sam wóz. A jeżeliby nawet przyjąć taką kon-

cepcję, to jak wpaść na ślad człowieka, którego osoba, co było bardzo prawdopodobne, łączyła te dwie sprawy? Nie udało się ustalić, z kim kontaktowała się zaginiona dziewczyna przed swoim wyjazdem do Anglii. Była z natury skryta, wręcz tajemnicza. Należało się dziwić nawet temu, że zwierzyła się ciotce ze swoich projektów małżeńskich. Chwila słabości czy też zupełna pewność, że nic się już w jej planach życiowych nie zmieni, mimo że od uroczystości dzielił ją przynajmniej rok?

Minęła północ, kiedy wreszcie kapitan z westchnieniem odłożył akta sprawy.

— Ciężki kawałek chleba — powiedział cicho do siebie, nie wiadomo który już raz w życiu. Zgasił światło prawie natychmiast.

Ustalanie, kto mógł znajdować się w bieszczadzkiej restauracji w nocy z piątku na sobotę, kiedy zakończył życie Jerzy Kubiak — porucznik Wasilewski rozpoczął od przejrzenia wyników akcji kontroli tak zwanych „pustych przebiegów”. W ogóle samochodów nie przejeżdżało tu wtedy zbyt wiele. Sezon się nie zaczął, a okolica ciągle jeszcze była słabo zaludniona. Żadnych zakładów przemysłowych, mało budów.

I dobrze — pomyślał mimochodem porucznik patrząc z zachwytem na pokryte latami szczyty gór.

Ale cóż... Nie dla pejzaży tu przyjechał. Zanotował numery i dane dotyczące kierowców wszystkich kontrolowanych wtedy samochodów. Potem udał się do miejscowej placówki Przedsiębiorstwa Spedycji Krajowej i tam wypisał, kto zgłosił się po ładunek, jak też — ku zdziwieniu obserwujących — spisał nazwiska wszystkich kierowców, niezależnie od tego, czy zabrali jakiś towar, czy też nie. Następnie do długiej już listy dołączył dane otrzymane w miejscowych jednostkach milicji, a dotyczące kierowców, którzy w czasie tamtych dwóch dni, a więc w ciągu piątku i soboty, zostali ukarani mandatami za jakiegokolwiek wykroczenia. Swoje notatki uzupełnił w bieszczadzkich przedsiębiorstwach handlowych, do których w czasie owych dwóch dni dowieziono towary. Wreszcie zaczął selekcję.

Dużym, czerwonym minusem zaznaczał samochody lub kierowców wstępnie wyeliminowanych. A czym się kierował stawiając te minusy? W wielu przypadkach decydowały dane dotyczące szofera. Jeżeli był to mężczyzna w wieku ponad czterdzieści pięć — pięćdziesiąt lat, nie pasował do obrazu młodego, zwalistego mężczyzny, który miał w restauracji ostrą rozmowę z Kubiakiem, ani też do obrazu jego towarzysza — niewielkiego, ale może trzydziestoletniego, prawie jeszcze chłopca.

Minusy stawiał też porucznik przy pozycjach, które dotyczyły samochodów wyjeżdżających z Bieszczad w piątkowy wieczór lub przybywających tam dopiero w sobotę, kiedy to Kubiak już nie żył. W ten sposób lista skurczyła się z sześćdziesięciu siedmiu do dwudziestu ośmiu pozycji. I te właśnie pozycje Wasilewski zaczął kolejno sprawdzać.

Porucznik miał sporo szczęścia, bo już przy numerze szóstym poczuł znajomy dreszczyk emocji, którego ciągle jeszcze — mimo kilku lat służby milicyjnej, obfitującej w różne niespodzianki — nie potrafił opamiętać.

Kierowca przedsiębiorstwa transportowego, Jan Kolasiński, mieszkał w Rzeszowie. Na liście porucznika znalazł się dlatego, że w ów sobotni rano został zatrzymany przez funkcjonariusza milicji podczas prowadzenia samochodu, właśnie dla skontrolowania, czy nie wraca z pustą skrzynią. Na skrzyni były towary, dokładnie — opakowania, ale milicjant poczuł od kierowcy charakterystyczny zapach, co spowodowało, że Kolasiński musiał dmuchać w balonik.

Sprawa nie zakończyła się na tym wstępnym badaniu. Kolasińskiego zabrano do najbliższego szpitala w celu pobrania próby krwi. W drodze uparcie powtarzał milicjantowi, że pił tylko piwo i to wieczorem, a więc badanie nie może wykazać żadnego alkoholu. Jest doświadczonym kierowcą i wie, co mu wolno, a czego nie. Prawo jazdy zatrzymano do czasu wyjaśnienia sprawy, natomiast samochód odprowadził do bazy wezwany telefonicznie kolega Kolasińskiego.

Niefortunnego kierowcę zastał porucznik w warsztatach samochodowych, gdzie skierowano go do pracy do czasu ponownego otrzymania przez niego prawa jazdy.

— Dobra, zabraliście prawo jazdy, pracuję tu teraz jak wół. to czego jeszcze ode mnie chcecie? — przywitał Wasilewskiego.

— Sprawa jest poważniejsza. Musimy spokojnie porozmawiać.

Kierownik warsztatów nagle zaczął się spieszyć, więc okazało się, że będzie wolny oszklony kantorek, gdzie można bez kłopotu porozmawiać, a nawet sporządzić protokół przesłuchania

— Czy tamtego wieczoru w piątek był pan w restauracji „Popularna” w Bieszczadach? — zapytał porucznik bez wstępów.

— Masz ci los! Miała być jakaś ważna sprawa, a tu w kółko Macieju ten nieszczęsny balonik.

— Powtarzam, sprawa jest ważna i nie

dotyczy pana. To oficjalne przesłuchanie, uprzedziłem pana o odpowiedzialności za fałszywe zeznania.

— No. dobrze, byłem. Nie wyrobiłem się w dzień, a jak chciałem wracać, to już zaczęło się ściemniać. Poczulem się zmęczony, to pomyślałem, że zdrzemnę się w szoferce i ruszę skoro świt. A do tej knajpy wstąpiłem po piwo. Chciałem spokojnie wypić ze dwie buteleczki na dobry sen.

— Ale w końcu usiadł pan przy stoliku, prawda?

— Jak pan wie. to po co ta komedia z przesłuchaniem? Co tu w ogóle jest grane?

— Z kim pan wtedy siedział?

— Ach, taka zabawa! Powiem wszystko, co wiem. ale nie będzie tego dużo. Bliżej faceta nie znam. Spotkałem go prawie w drzwiach tamtej knajpy. Zupełny przypadek.

— A skąd pan go zna i co pan o nim wie?

— Znam go z trasy. Kiedyś koło Tarnowa zdarzyła się katastrofa na przejeździe kolejowym, oczywiście wstrzymano ruch i tak dalej. Okrężne drogi właściwie nieprzejezdne, więc kłąłem i czekałem. On czekał razem ze mną. Ze dwie godziny zajęło, zanim uprzątnęli przejazd, to mieliśmy czas na rozmowę. Takie gadanie... O samochodach, o drogach, o przygodach z podróżującymi dziewczynami... Szybciej czas zleciał.

Potem cześć — cześć i każdy w swoją stronę. Tak to już jest na szlaku. Tom w Bieszczadach spotkałem go dopiero drugi raz. ale zaraz go sobie przypomniałem i on mnie też. Za pierwszym razem mówiłem mu. że mój brat, Szczepan, ma warsztat samochodowy i załatwia różne części, z którymi kiepsko na rynku. On interesował się częściami do skody. I jak stuknęliśmy się w tych drzwiach, to wziął mnie pod mankiet i do stoliku, że niby ma ważną sprawę. Siadam, on mówi, że mu jakieś części niezbędnie potrzebne, właśnie do skody. Myślę — dlaczego facetowi nie pomóc? Mnie wódeczkę postawi, brat zarobi przy okazji... Dałem mu adres Szczepana, wypiliśmy po kieliszku... Tylko jak przyszło co do czego, to on właściwie poza tym kieliszkiem już nic. Ja nie lubię pić sam i stanęło na tym, że zostało pół butelki na stoliku...

— Pamięta pan konsumentów, którzy wtedy byli?

— Może bym i kogo sobie przypomniał.

— Tego pan pamięta? — porucznik pokazał fotografię Kubiaka.

— Był — powiedział Kolasiński bez zastanowienia. — Nieźle przytruty, ale sympatyczny. Siedział z takim wysokim facetem z wąsikami, kolega pewnie. Ale stale łąził po sali, przysiadł się do gości.

— Czy ten mężczyzna, który był z panem, miał jakąś kłótnię, ostrą rozmowę, coś takiego?

— A wie pan, że było coś takiego... Ten mój poszedł oglądać, jakie są zimne zakąski i widziałem, że tam przy bufecie przepychał się z tym, co mi go pan pokazał na zdjęciu. Kiedy wrócił, zapytałem go, co jest. Powiedział, że nic wielkiego, tamten pijany przyczepił się do niego, że niby ten mój znajomek pożyczył kiedyś od tamtego pieniądze. Pchał się z łapami, to go odsunął i po sprawie. Pijaczkowi coś się pomieszało w zamroczeniu.

— Kiedy stamtąd wyszliście?

— Myślę, że koło wpół do dziesiątej. Mój znajomek stracił humor, mówił, że przez tego pijaczka. I potem wyglądało na to. że zaczął się nagle spieszyć... Stało się tak, że zostawił mi pieniądze na rachunek, przeprosił i szybko wyszedł.

— Co pan o nim wie? Wszystkie szczegóły.

— Mówił, że na imię ma Bolek. Gdzie mieszka, nic wiem, nawet w przybliżeniu. Nie mówił, a ja nie pytałem.

— Co robił w Bieszczadach?

— Wspomniał o jakiejś dziewczynie, ale tylko wspomniał.

— Czy mógłby pan sobie przypomnieć, jakim samochodem był wtedy przy przejeździe kolejowym koło Tarnowa?

— Ano właśnie! Pamiętam. To był taki duży TIR, z tych, co jeżdżą na międzynarodowych trasach. Wóz z przyczepą, wszystko pokryte plandekami. Ale jakim samochodem był tutaj, tego nie wiem. I to tyle, chyba już nic więcej sobie nie przypomnę.

Nadchodził zmiennik, ale Szczepan Kolasiński ciągle jeszcze był na placu przed budynkiem swojego warsztatu. Sam dosyć rzadko dokonywał napraw samochodów, ale miał zwyczaj bardzo dokładnego pilno-

wania swoich ludzi i sprawdzania wyników ich pracy, zanim zdecydował się przekazać klientowi naprawiony samochód.

Aktualnie pracowało trzech robotników: jeden przy starej skodzie i dwóch przy małym fiacie. Obydwie naprawy bardzo pilne, klienci dodatkowo płacili za zaoszczędzony czas.

Przed warsztatem zatrzymał się nowy, niebieski volkswagen. Wsiadł z niego niski, szczupły mężczyzna, chwilę się rozglądał, po czym wszedł na teren warsztatu.

— Pan Kolasiński? — zapytał widząc zbliżającego się właściciela.

— Zgadza się. A o co chodzi?

— Niedawno rozmawiałem z pańskim bratem. Mam kłopoty ze swoją skodą, brakuje części... On powiedział, że u pana będę mógł coś dostać. Rozumie pan, samochód musi być na chodzie, taką mam pracę. Cena jest ważna, ale nie najważniejsza.

— Wie pan — Szczepan Koksiński przyglądał się uważnie przybyszowi. — Sam nie mam tego za dużo, a klient przychodzi, płaci, to i wymaga... Ale jeżeli Janek pana przysła... Nic, chodźmy do kantoru. Tam pogadamy. Może coś się znajdzie.

Po krótkiej rozmowie właściciel warsztatu odstąpił przybyszowi niektóre części z przedstawionego mu wykazu. Nie dyktował zbyt wygórowanych cen, kierowca volkswagena wyglądał na bardzo zadowolonego. Części i pieniądze przeszły z ręki do ręki, mężczyźni uściskali sobie dłonie i wyszli na plac. Ale tuż przy drzwiach klient się zatrzymał.

— Ach, jeszcze jedno byłbym zapomniał. Mam dług wdzięczności wobec pańskiego brata, chciałbym się zrewanżować. Tak się jednak składa, że nie znam jego aktualnego adresu.

— Jak to, nie zna pan adresu? Mówił pan, że jesteście kumple, a nie zna pan jego adresu?

— Tak się jakoś złożyło — powtórzył nie speszony niski mężczyzna.

— Bo wie pan, jak to jest. Ja na panu nie zarabiam, a jakby to wszystko policzyć. Myślałem, że to prawie rodzinna sprawa.

— Znamy się dobrze, ale żeby pamiętać adresy? Wie pan, jak to w tym fachu... Ale obiecuję panu. Jak pan nie zarobił na mnie, to może on coś zarobi.

— Chyba, że tak...

— Więc jaki jest jego adres?

— No, pisz pan — powiedział niechętnie właściciel warsztatu. — Częstochowa, ulica Poprzeczna 14.

— A numer mieszkania?

— Nie ma żadnego numeru. To jest domek.

— Dziękuję bardzo — powiedział przybysz zamykając notes. — Może coś mu przekazać od pana? Bo będę się z nim niedługo widział.

— Nic, nic — powiedział Kolasiński powoli. — Dziękuję.

Patrzył za odchodzącym aż do momentu, kiedy tamten zniknął za murem z czerwonej cegły. Potem odwrócił się tyłem do ulicy i odruchowo przekrzywił czapkę. Słyszac warkot odjeżdżającego samochodu po kiwał głową i półgłosem powiedział do siebie:

— Coś mi tu nie gra i to całkiem nie gra. Janek i ten facet... Chyba niemożliwe. A zresztą kto go wie, tego pędziwiatra... Jak by nie myśleć i nie mówić, póki co — jedno jest pewne, że pan Szczepan Kolasiński niby taki cwaniaczek, a zapłacił gapowe. Na tym lewym interesie straciłem parę setek. A co to wszystko znaczy, to może napiszą gazety.

Kapitan mozolnie wertował akta personalne pracowników PKS, którzy jeździli albo jeżdżą na liniach zagranicznych. Szukał przede wszystkim Bolesławów, ale nie tylko. Przekonał się już wielokrotnie, że ten, ido przedstawia się jakimś imieniem, niekoniecznie musi mieć właśnie to imię wpisane do dowodu osobistego.

Tak więc przyglądał się niektórym fotografiom i wynotowywał nazwiska młodych mężczyzn, którzy pasowali do świetnie mu znanego rysopisu.

— Mam piętnastoletniego syna — powiedział w chwili przerwy do urzędniczki. — Naoglądał się kryminalnych filmów i myśli, że jego ojciec ma pasjonującą pracę. Usiłowałem go przekonać, że to wygląda zupełnie inaczej, ale nie chce wierzyć i zamierza zostać, jak to określa, inspektorem milicji. Ciekawe, esy byłby zachwycony przewalaniem tych zakurzonych teczek?

— Przepraszam, kapitanie, gdybym przypuszczała...

— Przecież nie dlatego to powiedziałem, że mam jakieś pretensje czy coś takiego. Jest pewna robota do wykonania, a warunki są takie, jakie są. Tego by jeszcze brakowało, żeby pani latała ze ścierką między aktami już zwolnionych pracowników. Tylko że syn myśli, że i takie przewalanie starych papierzysk ma jakiś urok. Ciekawe, jaki?

Dobrze znał ten lokal, spędził tu kilkanaście wieczorów. Przychodził wtedy, kiedy nie miał co ze sobą zrebić, a w domu nie wytrzymał. Knajpa miała dwie zalety: było tu tanio i ciekawie. Zawsze znalazło się towarzystwo, ktoś spragniony rozmowy, jakiś nieszczęśliwy, który chciał, żeby mu beMUyuulu doradził nieznajomy. Czasami trafiał się ktoś, kogo właśnie pogłaskał los: wygrał w toto-lotka albo urodziło mu się dziecko czy dostał dawno oczekiwany awans w pracy.

Bezpiecznie było w tym barze jedynie rano, kiedy dwóch — trzech spragnionych leczyło chłodnymi napojami nocne alkoholowe zatrucia, a później tylko wtedy, kiedy zaglądał tu milicjant. W innych porach dnia każdy bywalec musiał być przygotowany na to, że tuż obok niego przeleci butelka albo krzesło. Sportowców, którzy wykonywali te rzuty, zabierała milicja, chwile panował spokój, a potem wszystko zaczynało się od nowa: stare żale i świeże niechęci, kłótnie zadawnione i takie, które rodziły się z sekundy na sekundę, bo ktoś odsunął popielniczkę albo „spojrzał nie tak”. Obcych zaglądało tu niewielu, ci, co się znali, rzadko byli przyjaciółmi. Znali się stąd albo z ulicy.

Dla niego na ten wieczór było to miejsce w sam raz. Przed drzwiami spelunki, obok nieszczęśliwego, smutnie wyjącego, uwięzowanego do kraty psa, chciał zostawić swoje kłopoty, a w szczególności myśl o żonie,

która już nie po raz pierwszy wyjechała bez uprzedzenia, zostawiając mu „uspokajającą” kartkę, że nie musi się martwić o dziecko, bo odwiozła je do swoich rodziców.

Na razie nie miał siły podjąć żadnej decyzji, ale z drugiej strony — właściwie nie wiedział, na co czeka.

— Nie dziś — powtarzał sobie codziennie. — Może jutro coś wymyślę. Może się jakoś ułoży.

W barze znał parę osób na tyle, żeby z nimi porozmawiać. Tutaj wszystko właściwie było pretekstem do wypicia którejś z rzędu kolejki. I wypił ich sporo. Czuł szum w głowie. Co prawda następnego dnia nie szykowała mu się zadra jazda, ale niezależnie od tego musiał na siódmą stawić się w pracy. Wyszedł więc, z pewnym żalem, prawie godzinę przed zamknięciem baru.

Tylko w pierwszej chwili podcięło go ostre, wieczorne powietrze. Już po kilkunastu krokach poczuł się lepiej i był zadowolony, że wyrwał się z tej gwarnej, zadymionej nory. Pilnował się, żeby iść wolno i nie zwracać na siebie uwagi patrolujących ulice milicjantów.

— Wszystko trzeba wyjaśnić — powtarzał półgłosem. — W jedną stronę albo w drugą. Musi być jasna sytuacja, bo dalej nie idzie tak żyć.

Do domu miał około dwóch kilometrów, ale postanowił skrócić sobie drogę. Idąc przez wertepy obok ogródków działkowych. Wszedł w mrok, w którym kierunek wskazywały mu tylko granatowe prześwity między czarnymi plamami drzew i dalekie światła ulicy.

Potknął się kilkakrotnie, raz nawet musiał przytrzymać się płotu. Wtedy, niezależnie od jego woli, ciało wykonało obrót wówczas dostrzegł za sobą ciemną sylwetkę człowieka. Odruchowo krzyknął, ale krzyk ten urwał się raptownie, gdy w głowę uderzyło go coś ciężkiego. Jednak nie stracił całkiem przytomności, tylko osunął się na ziemię.

Leżąc obserwował walkę dwóch ludzi: tego, który go uderzył, i kogoś innego. Ale skąd wziął się ten drugi? Z trudem uniósł rękę do czoła: wyczuł gęstą lepkość krwi. Walka trwała, a on nie mógł się do niej w żaden sposób włączyć. Pomyślał, że mógłby tylko krzyczeć, wzywać pomocy. I krzyknął. Ale wtedy usłyszał:

— Już nie trzeba, wszystko w porządku. Czy nic się panu nie stało?

— Głowę mam rozciętą, ale poza tym chyba nic. Pan go przytrzymał, tak? Bo inaczej, to bym pewnie nie żył.

— Tak, trochę go szarpnąłem.

Dopiero wtedy zorientował się w sytuacji. Jeden z mężczyzn leżał na ziemi, drugi klęczał na jego plecach. Leżący ciężko dyszał.

— No, idziemy, panie Kolasieński — usłyszał. — Delikwent chyba już będzie spokojny, bo w kajdankach.

— Ach, więc to milicja... — powiedział.

— A pan myślał, że harcerze bawiący się w podchody?

— Ale dlaczego to wszystko? I akurat ja...

— Niedługo się pan dowie. No w drogę. A ty, przyjacielu, bez żadnych numerów! Nie uciekniesz, a zdieję cię tak, że długo popamiętasz.

— Pan Bolesław Wrzesiński, prawda?

— Tak, Bolesław Wrzesiński.

— Przykro nam, że wkraczamy w pańskie życie, ale niestety musieliśmy panu przerwać to seryjne produkowanie nieboszczyków, w czym postanowił się pan specjalizować — zaczął przesłuchanie kapitan Jastrzębski.

— Jakich nieboszczyków, ja nic nie rozumiem. Łapią mnie bez dania racji, zakuwają w kajdanki... Żeby tak spokojnego człowieka szarpać bez powodu... Ja przecież nie byłem w ogóle karany

— To pan będzie. Za ile przestępstw, jeszcze się wyjaśni, ale na pewno za usiłowanie zabójstwa Jana Kolasińskiego. Bo przecież nie będzie nam pan chyba udowadniał, że chciał go pan popieścić tą żelazną rurką?

— Ale nie chciałem zabić, panie majorze! I w ogóle to nie chodziło o niego. Mam znajomą i przystawia się do niej jakiś facet, akurat podobny do tego, którego... No. wie pan... Ja nie lubie, jak mi ktoś wchodzi w paradę w takich sytuacjach, więc postanowiłem faceta przepłoszyć. I, niestety, zaszła tragiczna pomyłka, sam nie wiem, jak to wyjaśnić. Chciałem uderzyć niewinnego człowieka, mógłbym mu krzywdę zrobić. Słowo daję, sam nie wiem, jak mogło do tego dojść!

— Te sceny zazdrości niech pan zostawi na inne okazje. Przecież nie o to chodzi. Chce pan powiedzieć, że nie zna pan człowieka, którego pan uderzył?

— Było ciemno, panie majorze, głowy nie dam...

— Poprzednio widział go pan w pewnej bieszczadzkiej restauracji. A że był to dla pana szczególny moment, pomyślał pan, że lepiej będzie pozbyć się świadka takiego spotkania,

— Nie wiem, o czym pan mówi. Widzę, że chcecie mnie w coś wrobić, ale ja się nie dam.

— Sam pan się wrobił. Wprowadzić tutaj tego człowieka.

— Pewnie nie wrócił jeszcze do przytomności, jeżeli twierdzi, że widział mnie w Bieszczadach.

— Wprowadźcie Kolasińskiego — powiedział kapitan do funkcjonariusza, który siedział przy drzwiach. Po chwili Kolasiński znalazł się w pokoju. Głowę miał obwiązaną bandażem.

— Bolek, to rzeczywiście ty mnie uderzyłeś? — zapytał siedzącego. — Ale dlaczego, co do mnie miałeś? Zrobiłem ci co?

— Nie znam tego człowieka — powiedział wyraźnie Wrzesiński patrząc mu prosto w oczy. — Faktycznie jest podobny do tego... znajomego mojej dziewczyny, stąd ta pomyłka, a wszystko przez ciemności.

— Bolek, nie wygłupiaj się... Ja rozumiem, każdy może się pomylić, nie mam do ciebie specjalnego żalu... Ale dlaczego nie powiesz prawdy? Wstydzisz się mnie?

— Powtarzam: nie znam go.

— To ja ci przypomnę, łachudro! — krzyknął Kolasiński. — Czy ja ciebie zaczepiłem wtedy, w tej restauracji? Ja wstąpiłem normalnie. żeby kupić parę butelek piwa. Ty mnie zaczepiłeś, ty miałeś do mnie interes! Akurat jesteś mi potrzebny! Panie kapitanie, on ma nawet na sobie tę samą kurtkę, co wtedy. Skóra, zwróciłem uwagę na naderwaną boczną kieszeń.

— Co pan na to? — zapytał kapitan.

— Nic, powiedziałem już. że go nie znam. Ten człowiek się myli albo specjalnie kłamie z zemsty za wczorajszą historię.

— Dobrze, może pan iść, panie Kolasiński. Chyba wystarczy nam to, co pan już zeznał, ale w razie potrzeby jeszcze pana wezwiemy. To teraz z innej beczki — powiedział Jastrzębski, kiedy za wychodzącym zamknęły się drzwi. — W pańskim notesie znaleziono taką kartkę. Tu mamy fotokopię, oryginał oddaliśmy do szczegółowych badań. Skąd pan miał tę kartkę?

— Co to jest? — Wrześniński wziął do ręki fotokopię. — Bożena Sowa... — odczytał. — Ach, już wiem, to nazwisko dziewczyny, którą podwiozłem na jakiejś trasie. Dała mi adres na wszelki wypadek.

— W porządku. Ale skąd sama kartka? Ten papierek,

— Czy ja wiem?

— To kartka wyrwana z kalendarza.

— Już wiem. przypominam sobie, ta dziewczyna wyrwała ją ze swego kalendarza i dała mnie.

— Nie, proszę pana. Już ją odnaleźliśmy. To pan miał tę kartkę przy sobie. Bożena Sowa nie miała żadnego notesu. Niech pan spojrzy na tę drugą fotokopię. Wie pan, co to jest?

— Skąd mogę wiedzieć — Wrześniński wyraźnie zaniepokoił się.

— To fotografie dwóch kartek. Niech pan porówna krawędzie. Ekspertyza jest prawie gotowa, właśnie przepisują tekst. Ale badania porównawcze już przeprowadzono. Te kartki stanowiły jedną całość, ktoś odebrał jedną z nich od drugiej. Tę z adresem miał pan przy sobie. Ta druga została w notesie, a notes znaleziono przy zwłokach mężczyzny zamordowanego w Bieszczadach owej nocy, kiedy i pan tam był. Jak pan to wyjaśni?

— A czy ja wiem, skąd ta dziewczyna mogła mieć taką kartkę? — wzruszył ramionami Wrześniński, ale lekko poblądł.

— Nie, proszę pana. Dziewczyna nie mogła jej mieć i nie miała. W czasie, kiedy dokonano morderstwa, bawiła u krewnych w Skarżysku, widziało ją tego wieczora przynajmniej dwadzieścia osób. Co zanotował zamordowany później mężczyzna na kartkach swojego kalendarza? Przypuszczam, że numery pańskiego samochodu. Zgadza się? Wyrwał pan przez pomyłkę aż dwie kartki, tę z numerem zniszczył, a druga została w kieszeni, prawda?

— Że co, że tak sobie, dla zabawy zamordowałem jakiegoś nieznajomego faceta? — poderwał się Wrześniński.

— Nie dla zabawy. On pana rozpoznał jako bohatera wydarzeń pewnego jesiennego, ubiegłorocznego wieczoru w pobliżu miasta Końskie. Naprawdę lepiej, jeżeli pan sam to wszystko opowie.

— Jak pan taki pewny swego, to proszę mi całkowicie to udowodnić. Jakieś kartki, jakieś bajeczki... Ja nie mam ochoty tego wszystkiego wysłuchiwać.

Kapitan podszedł do kasy pancерnej, otworzył ją, wyjął z niej kopertę. Wrzesiński z napięciem obserwował jego ruchy. Jastrzębski wrócił na swoje miejsce i wytrząsnął z koperty niewielki pierścionek, w którym błysnęło załamane światło.

— Niezła rzecz — powiedział cicho kapitan, patrząc na rozjarzony brylant. — Znaleziony w pańskim mieszkaniu. Skąd się tam wziął?

— Rodzinna biżuteria — odparł Wrzesiński zduszonym głosem.

— Tak, rodzinna — kapitan uśmiechnął się. — Tylko nie tej rodziny. To jest pierścionek, z którym nie rozstawała się ani na chwilę Anna Buczyńska, zaginiona ubiegłej jesieni tuż po przekroczeniu granicy Polski. Pierścionek rozpoznała ciotka zaginionej. Zanim go zobaczyła, wymieniła, naturalnie oprócz ogólnego wyglądu, jeszcze trzy cechy szczególne. Między innymi tę ryse, która została po zmniejszeniu pierścionka oraz dwie wygrawerowane litery. Jeszcze panu mało?

— Przecież ona mogła mi go zostawić... — powiedział Wrzesiński.

— A więc jeszcze panu mało? Proszę wprowadzić panią Zarębinę.

Do pokoju weszła energicznie tęga kobieta.

— Dzień dobry — powiedziała. — A mówiłam panu, panie Wrzesiński, żeby się pan uspokoił, wziął się za uczciwą pracę...

— A ja mówiłem, co sędzę o takich radach — parsknął Wrzesiński. — Dobre rady pani dozorczyń!

Kapitan położył przed kobietą kilka fotografii.

— Czy poznaje pani którąś z tych dziewcząt?

— Tę poznaję — dziobnęła palcem jedno ze zdjęć.

— W jakich okolicznościach zetknęła się pani z (ą kobietą)?

— Najpierw to że dwa razy widziałam, jak przychodziła do niego — wskazała na Wrzesińskiego. — Zawsze wieczorem i ukradkiem, jakby nie wiadomo co, Ale ja mam oczy na miejscu i zawsze zobaczę, co trzeba. Nigdy nie było tak, że on z nią wchodził albo wychodził. Wiecznie sama. W jedną i w drugą stronę. Ale ja pomyślałam, że dobrze byłoby wiedzieć, do którego mieszkania idzie taka panienka. I kiedyś sprawdziłam, Ona nie dostrzegła mnie. Przyjechałam drugą windą i patrzyłam zza muru. Rozejrzała się, czy nikogo nie ma i dopiero wtedy cichutko zapukała.. Nie zadzwoniła, tylko zapukała, chociaż dzwonek działa.

— Czy widziała ją pani w jakiejś innej sytuacji?

— A jakże. Razem z nim, na dwa dni przed Świętem Zmarłych w ubiegłym roku. Pamiętam dokładnie datę, pojechałam na swoją działkę po kwiaty, miałam ładne chryzantemy... Działkę mam w takim kącie, z drugiej strony puste pole z krzakami. Na działkach już nikogo nie było, dzień chłodny. Wyjrzałam przez

okienko swojego domku i zobaczyłam, że z drugiej strony stoi zaparkowany samochód, wiśniowy fiat 125. Oni siedzieli w samochodzie, on bliżej mnie, dziewczyna z drugiej strony. Całowali się. Ja nie jestem z takich, co to podglądają, zabrałam się za porządkowanie domku i wtedy usłyszałam krzyk,

— To był głos męski czy kobiecy?

— Kobięcy. To ona krzyknęła. Ale zanim wspierałam się na zydelek, z którego dopiero mogłam spojrzeć, to zobaczyłam tylko, jak samochód odjeżdża. Szybko odjeżdżał, on siedział za kierownicą. Dziewczyny nie widziałam wcale, ale tam były takie wysokie podglówki, więc myślałam, że zsunęła się niżej i dalej siedzi na tym siedzeniu obok niego. Dla wszystkiego wyszłam jeszcze z działek i rozejrzałam się po tamtym miejscu, gdzie przedtem stał samochód, ale nie znalazłam niczego.

— Czy może pamięta pani, jak była u-brana ta dziewczyna?

— Miała na sobie taki lekki płaszczyk, ale pod nim, bo był rozpięty, widziałam sukienkę w drobne kwiatki.

— Dokładniej, jakie kolory?

— Sukienka jasnozielona, kwiatki brązowo pomarańczowe.

— Teraz poszukamy czego innego. — Kapitan otworzył teczkę akt. — To przesłuchanie milicjanta, który w pobliżu Końskich usiłował tego samego dnia zatrzymać kierowcę wiśniowego fiata. Wiec to jest tak: „Miał podniesioną klapę bagażnika. Zobaczyłem tam kobiecą nogę w pończosze i kwiecisty materiał, chyba to była sukienka. Sukienka miała kolor jasnozielony w drobno, pomarańczowe kwiatki. Kierowca nagle odwrócił się, zauważył mnie, więc zatrzasnął bagażnik, wskoczył do samochodu i odjechał, zanim zdołałem go zatrzymać”. Ten funkcjonariusz jest w drodze, pokażemy mu pana. No, może wreszcie zacznie pan mówić?

— A co pan jeszcze chce wiedzieć— poderwał się Wrzesiński. — I tak omotaliście mnie ze wszystkich stron! Cholerna jęcza! Dlaczego uparłaś się, babo, żeby mnie uziemić? Co ci zrobiłem? Nie płaciłem przynajmniej piątki za otworzenie bramy?

— Płacił — potwierdziła dozorczyńni. — Czasami dał i dychę. Ale dlaczego, jak już coś widziałam, mam to ukrywać? Pyta człowiek, a szczególnie władza, to ja odpowiadam.

— Czego jeszcze chcecie się ode mnie dowiedzieć? — zapytał Wrzesiński. Wyczerpał się jego nagły przyływ energii, mężczyzna opadł na krzesło, oparł głowę na rękach.

— Gdzie są zwłoki Buczyńskiej? I czy pan planował morderstwo, czy też to wynikło przypadkiem, wskutek zbiegu korzystnych dla pana okoliczności?

— Nie chciałem jej zabić! Przecież nie jestem żaden wampir, żeby się wyżywać w mordowaniu. Znaliśmy się przed jej wyjazdem, nie wykluczałem małżeństwa po jej powrocie. Ale kiedy ona tam była, w tej Anglii, moja sytuacja mocno się skomplikowała.

— Poznał pan inną kobietę, prawda?

— Tak. Okazało się, że dziewczyna jest w ciąży... Nie mogę powiedzieć, żeby mi na niej zależało, ale ona i jej rodzice... No, posuwali się do szantażu. Wiedzieli sporo o moich różnych interesach, Zdążyłem się u nich zapożyczyć na sporą kwotę. Kroił mi się niezły zarobek, ale wszystko poszło w diabły... Wspólnik

nawalił. Wobec Anny też miałem zobowiązania. Powiedziałem jej prawdę, zaraz jak przekroczyła granicę. Przez ten czas, kiedy jej nie było, korzystałem z jej samochodu. Tak czy owak — nawet jak mielibyśmy być razem, to sprawa ją obchodziła, bo miałbym poza nią obciążenia, dziecko pozamałżeńskie... Usiłowałem ją namówić, żeby mi dała pieniądze na zwrot tego długu. Wiedziałem, że dostała spadek, zanim jej powiedziałem o tym wszystkim, ona już zdążyła się pochwalić. Przyjechaliśmy do Kielc, do Łodzi mieliśmy jechać później. Była taka sytuacja... No, co ta wiedźma powiedziała... Pojechaliśmy na działki, piękna pogoda, myślałem, że tam lepiej nam się będzie rozmawiało. Siedzieliśmy w samochodzie, namawiałem ją, żeby się jednak zdecydowała dać mi te pieniądze. Wtedy ona zaczęła mnie obrażać. Tak nikt jeszcze do mnie nie mówił. Sam nie wiem, co się ze mną stało; Chwyciłem ją za szyję, żeby przestała wreszcie na mnie wygadywać. A potem już nie wiem, jak to było dalej. Kiedy rozluźniłem ręce, ona miała oczy zamknięte i nie oddychała. Przeraziłem się, a że siedziałem za kierownicą — włączyłem motor i ruszyłem. Siedziała obok mnie, zsunięta tak, że chyba nic było jej widać z zewnątrz. Zanim wjechałem do miasta, znalazłem takie miejsce, gdzie mogłem ją przenieść z siedzenia do bagażnika. Myślałem, co z nią zrobić. Wreszcie przyszło mi do głowy, że mógłbym ją utopić razem z samochodem w takich mokradłach. Jechałem właśnie tam, ale coś zaczęło mi się majaczyć. No, nerwy mi wysiadły... Wydawało mi się, że ona tłucze się w tym bagażniku. I że stuka w blachę. Wiedziałem, że to bez sensu, że tylko mi się tak wydaje, ale nie mogłem się powstrzymać; musiałem zatrzymać samochód i zajrzeć do bagażnika.. To było właśnie tuż za Końskimi. Akurat się ściemniło. Otworzyłem klapę, zdołałem tylko na nią spojrzeć: leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Wtedy poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się — to był milicjant. Jak szalony wskoczyłem do samochodu i zacząłem pędzić. Potrafiłem jakąś kobietę z dzieckiem, potem okazało się, że dziecko nie żyje... Podejrzywałem, że zwłoki Anny dostrzegł wtedy milicjant w otwartym bagażniku. Ale już samochód był zatopiony razem z nią, a ja wróciłem do siebie. W Bieszczady pojechałem, żeby I odwieźć teściową. Parę dni przedtem żona I urodziła mi dziecko. I tam coś podkusiło I mnie, żeby wstąpić do knajpy. Trafił się znajomek... No i, pech chciał, spotkałem tego małego pijaczka, który widział mnie j pod Końskimi. O dziewczynie nie miał pojęcia, ale wiedział, że to ja potrafiłem na szosie kobietę, z dzieckiem.

Paplał na prawo i lewo, że mnie poznał. Był mocno pijany. Miałem w samochodzie I jeszcze pół litra wódki. Wyszedłem wcześniej, odjechałem, potem wróciłem pod knajpę i czekałem na tego małego faceta. Wyszedł sam. Zaczepiłem go i powiedziałem, I że mam coś do niego. Zaprowadziłem go do samochodu, trochę się opierał, ale dało radę... Tam poczęstowałem go wódką. Z początku nie chciał pić, ale trochę mu pomogłem... Zjechałem z szosy i poczekałem, aż F wszystko się uspokoi. Potem zaniósłem go, E' trudno to nazwać prowadzeniem... A dalej E to już wiecie... Myślałem, że to będzie wyglądało nu samobójstwo... On zapisał w notesie numery mojego samochodu, a jeżeliby się wydało, że to ja potrafiłem tę kobietę z dzieckiem, to już byłoby zarazem wiadomo, że zabiłem Buczyńską. A potem pomyślałem, że ma mnie w rękę ten facet, z którym piłem w Bieszczadach. Podał mi adres swojego brata, wysłałem do tego brata znajomka, któremu dałem tysiąc, żeby dowiedział się adresu tamtego z Bieszczad.

To już wszystko. Resztę wiecie. A jeżeli jeszcze chodzi o mnie... Nie wiem, czy ktoś będzie mógł, czy w ogóle zechce mnie zrozumieć. Ale te sprawy z ostatnich kilku miesięcy to było coś jak lawina. Myślałem o tym dzisiaj w nocy. Nic by się nie zdarzyło, gdyby Anna nie wyjechała za granicę. Nie byłem przygotowany na jej wyjazd, właściwie na nic nie byłem przygotowany... Wszystkich zwodzi to, że mam sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważę prawie sto kilo... Taki facet to musi być twardy, każdy sobie myśli A to jest zupełnie inaczej... Tak, to wszystko stało się dlatego, że ona wyjechała. Zostałem zupełnie sam, szukałem kogokolwiek, żeby nie być sam. Znalazłem moją obecną żonę. Potem okazało się, że muszę mieć pieniądze, żeby się z nią spotykać. Stwarzała takie sytuacje... Lokale, podróże i tak dalej... Wdałem się w jakieś ciemne interesy, potem ziemia zaczęła mi się usuwać spod nóg, więc zapożyczyłem się u moich obecnych teściów. Chciałem, żeby Anna mi pomogła, bo ja jej pomagałem przed wyjazdem w kilku ważnych

sprawach. A jak się ona zachowała, to już powiedziałem. Zaczęło się od tego, że nie mogłem rozprostować palców, które zacisnąłem chwilę przedtem na jej szyi. A potem, jak już mówiłem: to była lawina. Jedno zdarzenie pociągało za sobą następne, właściwie jestem nawet zadowolony, że to wszystko wreszcie się skończyło. Ale jak sięgam pamięcią wstecz — zupełnie nie chce mi się wierzyć, że rzeczywiście ja to wszystko zrobiłem.